



# PRZEŁ BIAŁE

*Polska walcząca na Wschodzie*

ROK III Nr 14 (53)

NIEDZIELA 11 KWIETNIA 1943 R.

CENA 20 FLS

## W WARSZAWIE...

Korzystamy z możliwości podzielenia się z czytelnikami „Orla” garścią bezpośrednich, szczerze i obrazowo naszkicowanych wrażeń wiarogrodnej osoby, niedawno przybyłej z okupowanego Kraju. Rzeczywiste nazwisko autora musi, ze zrozumiałych przyczyn, pozostać w ukryciu. Dalszy ciąg wspomnień z Warszawy podamy w numerze następnym.

Warszawa wojenna, ta sama jak zawsze, a jednak inna. Zrujnowana, obdarda, chłodna, kirem okryta, a jednak dumna, nieprawdopodobnie optymistyczna, niesforna, figlarna niemal, a nade wszystko „sobieradna”. Naprawdę imponujące wprost jest przystosowanie się Warszawy do obecnych warunków. Gdyby mi ktoś przed wojną powiedział, że możliwa jest egzystencja ludzka w atmosferze, w jakiej teraz żyją każdy mieszkaniec Warszawy, nie uwierzyłbym. Jednak życie mocniej jest nade wszystko, nawet nad śmierć. Ze śmiercią Warszawa otrząsała się jak nikt inny, jest z nią za „pan brat”. Nie ma rodziny, która by kogós z najbliższych nie straciła, nie ma człowieka, któremu by śmierć w każdym momencie nie groziła. Mimo to Warszawa nie spuszcza z tonu, głowy nie zwiesza, a życie triumfuje i to życie w całym tego słowa znaczeniu, z wiarą w lepsze jutro, życie — nie wegetacja.

Warszawa żyje prawdziwie swoim własnym życiem, od wszystkiego co niemieckie odgradziła się murem, zamknęła się jak ślimak w skorupie. Warszawa to jakby jakiś klub ekskluzywny. Z tym tylko, że każdy nieszczęśliwy, wysiedlony, ukrywający się ma prawo wstąpić do tego klubu, ba staje się jego członkiem. Klub ten liczy obecnie podobno ponad 2 miliony ludzi. Odsetek nowoprzyjętych jest więc olbrzymi.

Wielka ta rodzina, której na imię Warszawa, nie mówiąc już o całym ogromnym świecie podziemnym, żyje pod znakiem nielegalności. Gdyby ktoś chciał żyć w zgodzie z prawem — przestałby żyć, mówi się w Warszawie. Nie ma w tym powiedzeniu ani odrobiny przesady. Kto by chciał trzymać się ściśle tysięcy przepisów, zakazów, obwieszczeń, zarządzeń i ograniczeń, umarłby z głodu po tygodniu.

Objawy tej nielegalności, tej walki, jaką prowadzi Warszawa z Niemcami, widzi się wszędzie, napotyka na każdym kroku.

Myślę, że zilustruje i odda to najwierniej kilka scen, incydentów, czy wydarzeń, których bądź byłem świadkiem naocznym, bądź słyszałem o nich od ludzi, którzy je przeżywali. Ze zrozumiałych przyczyn nie podam tu nazwisk, ani adresów. Dlaczego te, a nie inne fakty przytaczam, to sprawa przypadku, te właśnie przyszyły mi na myśl. Być może zresztą, iż ze względu na swą plastyczność wysunęły się nie jako na czoło mych wspomnień, najbar dziej mi w pamięci utkwiły.

### W KOŚCIELE

Niedziela wiosenna, godzina 11 rano. Na ulicach ruch, jedni wracają z kościoła, inni, ci co się chcieli wyspać, spieszą dopiero na mszę św. Jest ciepło, słońce świeci. Część ludzi ubrana jest „na letniaka”. Ile w tym dobrej woli i pracy, aby wyglądać jako-tako przyzwoicie ubranym. Specjalnie panie, prawie wszystkie w strojach „demi-saison”. Improwizacji w ich elegancji dopatrz się tylko znawca. Szyk na całego. Tylko twarze zmęczone, blade, wymizowane, lecz nie zawsze pozbawione uśmiechu. Gdzienigdzie ubranie trochę przyduże zdradza dawną okrągłość kształtów.

W kościele Zbawiciela 1łok, tłum stoi przed kościołem. Msza się rozpoczęła. Już po Ewangelii, kapłan wchodzi na ambonę. Kazanie. Ksiądz mówi z niezwykłą wiarą w to co mówi, bez patosu, a sugestywnie. Mówi o zwycięstwie dobra nad złem, o triumfie sprawiedliwości. Wszyscy zasłuchani, skupieni. I tak wprawdzie wierzą w to niezachwianie, jednak słowa z wysokości amfony utwierdzają ich w tym przekonaniu jeszcze bardziej. Oczy jaśniej błyszczą, spojrzenia mówią: przetrwamy, doczekamy...

Nagle w tłumie zafalowało. Szepł podawany z ust do ust: na Mokotowskiej łapia. W kościele robi się

ruch: młodzi — wychodzą. Przetłum w rozmaitych kierunkach zaczynają przepychać się ludzie ku wszystkim wyjściom. Paniki nie ma, dzieje się to jakoś dostojnie, tylko przy wyjściach robią się zatory. Star si i kobiety zostają. Ktoś uściśnął czyjąś dłoń, jakaś matka pocałowała syna w czoło, w czyichś oczach łzy błysnęły. Czy im się uda, czy się jeszcze zobaczymy? Jakiś chłopiec oddaje nieznajomej starszej pani gruby plik papierów. Mówi, że zgłosi się po nie po obiedzie, pyta o adres. Gdyby nie przyszedł, to mniejszą paczkę spalić, zawartość większej rozdać między ludzi. Nieznajoma pani podaje swój adres. Poszedł w kierunku wyjścia. Jakaś młoda para, ona bardzo piękna, on dziwnie przystojny w swej surowości. Zegnął się, pocałował ją w rękę. Odchodzi, ona zostaje. Nagle zdecydowała się, idzie za nim, dogoniła go. Zatrzymał się, prosi żeby została. Perswazje nie dają rezultatu. Ostatecznie zostają oboje.

Ksiądz szybko skończył kazanie. Błogosławi wychodzących. Prosi o zmówienie w ich intencji trzech „Ojcz nasz”, trzech „Zdrowaś” i trzech „Chwała Ojcu”. Ogłasza, że wobec często zdarzających się ostatnio wypadków całą młodzież zwalnia z obowiązku słuchania mszy św. w niedzielę.

Dalszy ciąg nabożeństwa. Już spo-

kój, tylko jakaś dziwnie naprężona, pełna oczekiwania atmosfera. Kiedy się zacznie obława? W kościele trochę jest teraz luźniej, przed kościołem tłum nie ma, część się rozeszła, część weszła do środka. Podniecenie. Rozmodłone twarze chylą się kornie ku ziemi. Komunia św., ludzie cisną się do ołtarza, to ci co przystępują do Stołu Pańskiego. Przez kościół przechodzi znowu szepł: obławy nie będzie, to było lokalne aresztowanie, samochody odjechały. Już po wszystkim. Głęboki oddech ulgi.

Przy głównym wejściu znowu ruch, ktoś przepycha się przez tłum, wchodzi do kościoła. Głowy się odwracają. To Niemiec. Młody, wysoki, barczysty, na głowie czapka z trzpią czaszką, aparat fotograficzny w ręku — SS-mann. Było ciasno, momentalnie wokół niego robi się pusto. Stoi przy samych drzwiach. Mina butna, pewna siebie. Zaczyna się rozglądać, widzi dokoła pustkę, jest sam w środku koła o promieniu 2 metrów. Dalej tłum, dokoła niego, ze wszystkich stron. Inny świat, wrogi, obcy świat. Nikt go nie widzi, nie dostrzega. Tylko zaciśnięte usta i zwrte pięści. Niemiec peszy się, zmienia się na twarzy. Zdał sobie sprawę, że jest tu intruzem, że bezczciwie swą osobą to sanctorium, że jest sam jeden jak palec wśród tysiąca ludzi. Jakoś nieśmiało, ukradkiem wycofuje się. Wolna przestrzeń momentalnie zapętnia się ludźmi. Jakoś sam robi się pusty korytarz dla niego, żeby mógł wyjść. Nie ocierając się o nikogo, pśpiesznie wyszedł. Nikt na niego nie spojrział, nie obejrzał się. Ostatnia Ewangelia, koniec nabożeństwa. Wszyscy powoli rozchodzą się po mszy w Warszawie okupacyjnej.

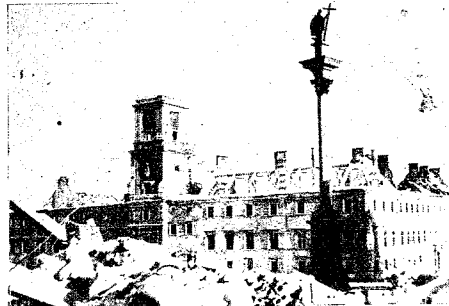
### W KAWIARNI

Jedna z tylu nowootwartych kawiarni—barów na jednej z głównych ulic Warszawy. Można w niej napić się kiejpskiej kawy, coś przekąsić, coś wypić. Kelnerki, to panie z towarzystwa, jak to się teraz często zdarza. Ładne i brzydkie. Jedna była wyjątkowo ładna, sienkiewiczowski typ, o sienkiewiczowskim imieniu.

Przychodzili tam wszyscy: przypadkowi przechodnie, znajomi właścicieli i kelnerek. Spotykali się tam, jak w tylu innych kawiarniach, przedstawiciele tzw. Warszawy podziemnej, a nade wszystko „handlarze i kupcy”, „czarnogiędziarze” najrozmaitszego autoramentu. Do stałych bywalców zaliczał się pan w średnim wieku. Nikt o nim nie wiedział, ponad to, że lubił często i uiać za co wypić.

Tego dnia wszystkie stoliki były zajęte. Przy jednym siedziało 3 żołnierzy niemieckich, co tu się bardzo rzadko zdarzało. Wchodził nasz stały bywalec, jest niezupełnie trzeźwy. Rozgląda się. Nie widząc żadnego wolnego stolika zbliża się do Niemców i zapytuje po niemiecku, czy

(ciąg dalszy na str. 2)



Pierwsze zdjęcie u góry: Zamek Warszawski zniszczony przez bombardowanie. Drugie: Groby poległych na placu Trzech Krzyży w Warszawie.

# POLAK W AFRYCE

Niedawno pocztą lotniczą nadesła-  
no nam bardzo ciekawe pismo. Jest  
to dwutygodnik wychodzący pod  
nazwą: „Polak w Afryce”, poświęco-  
ny sprawom uchodźstwa polskiego  
w Afryce, a wydawany przez Dele-  
gaturę Ministerstwa Pracy i Opieki  
Społecznej w Nairobi.

Otrzymałem egzemplarz nosi datę  
14 marca br. zatem jeszcze przed  
niespełna trzema tygodniami znaj-  
dował się w redakcyjnym lokalu  
hen w Afryce Wschodniej.

„Polak w Afryce” jest to zaso-  
pismo normalnego, gazetowego roz-  
miaru, objętości osiemiu stron. Stwo-  
rzenie tego dwutygodnika dla na-  
szych rodzin na uchodźstwie, gdzie  
boleśnie daje się odczuwać brak  
polskiego słowa drukowanego, było  
nie tylko kwestią pierwszorzędnej  
wagi, lecz dosłownie: koniecznością.  
Wśród przebywających bowiem pod  
afrykańskim słońcem Polaków ol-  
brzymi odsetek stanowią dzieci i mło-  
dzież, które wychowywane w no-  
wych okolicznościach, otoczone obcą  
przyrodą, uczące się obcych języków,  
a tak przedwcześnie wyrwane z Kraju,  
pomimo nienajlepszych warunków  
materialnych, bez stawy duchowej  
mogą znaleźć się w położeniu wręcz  
tragicznym. I dlatego słusznie mówi  
redakcja w słowie wstępnym: „...Wa-  
sze ciało tylko jest tutaj, serce wa-  
sze zostało w Ojczyźnie. Woleliby-  
ście osianić się przed jesienią pol-  
ską wichurą, niż rozkoszować się  
ciepłem podzwrotnikowego słońca.  
Wolelibyście jeść cierpkie owoce  
polnej gruszy, niż ociekające słydcą  
ananas. I to jest dobrze. I tak  
trzeba. Nie możecie zapomnieć wy,  
ani dzieci wasze. Musicie o Niej, o tej  
Ziemii waszej rodzinnej pamiętać  
zawsze. My wam w tym pomożemy.  
Będziemy wam donosić, co się w niej  
teraz dzieje.”

Z artykułów zawartych w tym nu-  
merze uzyskujemy szerzeg tak gorąco  
interesujących nas wiadomości o ży-  
ciu rodaków na Czarnym Łądzie.  
Oto niektóre wyjątki z działu: „Ży-  
cie Osiedli”: „Na terytorium Afryki  
Wschodniej znajduje się sześć osiedli  
polskich, mieszczących ogółem dzie-  
więć i pół tysiąca uchodźców w osied-

lach: Misindi (Uganda), Koja (Ugan-  
da), Tengeru (Tanganika), Ifunda,  
Kidugala i Kondoa. Warunki mieszkaniowe: na sześć osiedli mamy trzy,  
w których chaty budowane są jako  
szkielet z drewnianych łożysk, oble-  
piony błotem, a dachy kryte słomą,  
bananowymi liśćmi, lub miejscową  
trawą. Ten typ chat mamy w osied-  
lach Misindi, Koja i Kidugala. Jedno  
jeszcze osiedle, mianowicie Kondoa  
ma podobną konstrukcję chat, ale  
konstrukcja ta jest solidna, gdyż  
osiedle to było budowane dawniej,  
bez pośpiechu. Piąte osiedle Ifunda  
jest budowane z cegieł robionych  
z błota i wysuszanych na słońcu.  
Domki tego osiedla trzymają się do-  
brze. Ostatnie wreszcie osiedle Ten-  
geru jest budowane tak samo jak  
Ifunda, ale jakość cegły robionej  
z błota jest gorsza dzięki mniej od-  
powiedniemu gruntowi. Należy pod-  
kreślić, że z powodów niezależnych  
zupełnie od czynników polskich,  
wszystkie osiedla z wyjątkiem Kon-  
doa budowane były w wielkim po-  
śpiechu. Wszędzie trzeba było za-  
czynąć od robienia dróg, karczowa-  
nia dżungli i wycinania dzikiej,  
„słoniowej” trawy. Budowa osiedli  
była zawsze opóźniona w stosunku  
do tempa nadchodzących transpor-  
tów i uchodźców naszych trzeba by-  
ło niejednokrotnie wprowadzać na  
jakis czas do nie wykończonych chat.

Konieczność pośpiechu i trudności  
dowozu materiałów budowlanych  
zmuszały do wybierania typu budo-  
wy opartego na materiałach miejscow-  
ych i to zdecydowało o typie  
i jakości chat, tym bardziej, że je-  
dyną rozporządzalną siłą roboczą  
są Murzyni (przy budowie niektó-  
rych osiedli pracuje ich po kilka  
tysięcy). Z ostatnimi transportami  
zaczeli przybywać nasi specjaliści  
i w miarę tego jak przybywają, or-  
ganizujemy na własną rękę wykoń-  
czenie domków.”

A oto nieco danych o szkolnictwie:  
„Szkołnictwo w osiedlu Tengeru:  
z początkiem listopada uruchomiono  
szkołę powszechną 6 oddziałową.  
W grudniu uruchomiono dwie klasy  
gimnazjalne. Razem objętych jest  
szkołą 1134 dzieci. Przedszkole liczy  
124 dzieci. Pracę w szkole prowadzi  
50 osób personelu nauczycielskiego  
na dwie zmiany. W osiedlu istnieje  
sierociniec na 532 dzieci, którymi  
opiekuje się 22 wychowawców. Osie-  
dle Kondoa. W osiedlu tym od po-  
czątku września uruchomiono szkołę  
powszechną pięcioklasową oraz przed-  
szkole. Na 188 dzieci w osiedlu  
objętych szkołą jest 140 dzieci,  
przedszkolem — 30. Szkołę prowadzi  
szesnaście nauczycielek. Osiedle Kidugala.  
Tutaj znajduje się 347 dzieci. Od  
początku grudnia uruchomiono na-  
ukę w pierwszych dwu klasach

szkoły powszechnej. Obecnie istnie-  
ją trzy oddziały klasy pierwszej  
i jeden oddział klasy drugiej. Szkołę  
prowadzi jeden nauczyciel i cztery  
siły pomocnicze. Obecnie przydzielo-  
no sześć sił nauczycielskich do Ki-  
dugali z osiedla Tengeru. Istnieje  
dwa przedszkola obejmujące 106  
dzieci. Osiedle Misindi: na ogólną  
ilość 1471 dzieci, objętych jest szko-  
łą powszechną sześcioklasową 850  
dzieci, gimnazjum (2 klasy) — 80 dzie-  
ci, sierociniec — 292 dzieci. Perso-  
nel nauczycielski składa się z 36 osób.  
Personel wychowawczy przedszkola  
liczy 9 osób, sierocinca 20 osób i 16  
sił pomocniczych. Osiedle Koja:  
ogółem w osiedlu jest 547 dzieci.  
Od drugiej połowy listopada urucho-  
miona została początkowo sześćio-  
— obecnie siedmioklasowa szkoła po-  
wszechna. Szkoła objęła 431 dzieci,  
przedszkole — 30 dzieci. Hość na-  
uczycieli: 15 osób. Istnieje gazetka  
szkolna i chór szkolny. Nauczanie  
jest ogromnie utrudnione z powodu  
zupełnego braku podręczników szkol-  
nych.”

Wyżej przytoczone najbardziej  
charakterystyczne urywki świadczą,  
że życie naszych rodaków w Afryce  
bynajmniej nie jest ustane różami.

W tym samym numerze czytamy,  
że w Nairobi odbywają się trzy razy  
w tygodniu półgodzinne audycje ra-  
diowe w języku polskim. Poza ob-  
szernymi wiadomościami z Kraju,  
przeglądem wydarzeń wojennych  
i trzema udanymi wierszami, pismo  
ogłasza piękny list młodej dziewczyny  
przebywającej w Afryce, do ojca,  
który pozostał w Polsce. Z listu tego  
przytaczamy fragment: „My tutaj,  
Tatusiu, mieszkamy wiele setek kilo-  
metrów od wschodnio-afrykańskiego  
wybrzeża, niedaleko jeziora N. Nasze  
osiedle nazywa się NN. I leży na  
skrajku wielkiego podzwrotnikowego  
lasu. Las ten karczący ciągle Murzy-  
ni, bo osiedle nasze wciąż się roz-  
budowuje na przyjęcie nowych partii  
uchodźców. Wyciąwszy drzewa Mu-  
rzyni wypalają potem ogromną tak  
zwaną „słoniową” trawę. Ogień to  
jeden żywioł, który potrafi wywal-  
czyć w tych dzwiczonych dżunglach  
miejsce dla ludzkich osiedli. To też  
nocą otoczeni jesteśmy prawie za-  
wsze wieńcami pożarów, barwiących  
niebo krwawą łuną.

„Slady dzikości są tu wszędzie.  
Drzewa, które pozostawiono pomię-  
dzy naszymi chatami dla cienia, mają  
korę otartą przez słońce. Nocami  
dżungla gra tajemniczą, dziwną mu-  
zyką. Ale samo osiedle, zwłaszcza  
w zagospodarowanych już przez nas  
częściach, zaczyna przybierać prawie  
swojski wygląd.

„Przed każdą chatką jest ogródek,  
a w ogródku rosną słoneczniki i mal-  
wy. Jak u nas w Polsce... A gdy  
spacerować późnym wieczorem, wte-  
dy blask księżycy wsyrebra pod-  
zwrotnikowe trawy, którymi posy-  
te są dachy i czardzijską swą mocą  
przetwarza je na słomiane, wiejskie  
strzechy... Rozświetlone wnętrza chat  
mrugają przyjaźnie złotymi oknami,  
jak u nas... Przed chatami siedzą  
w półmroku gromadki ludzi jakby  
na naszych przybach... Noc przyno-  
si na swych skrzydłach ściszy gwar  
rozmów i chwytające wspomnieniami  
za serce melodie o rozmarynie i roz-  
kwitających pąkach białych róż.  
Zdala, w sierocinicy, dzieci śpiewają  
„Wszystkie nasze dzienne sprawy”...  
I złudzenie staje się prawie zupełne.”

Redakcja „Polaka w Afryce” do-  
brze spełnia swoje trudne i odpo-  
wiedzialne zadanie.

T. W.

## MODLITWA MOJA...

Nie widzę Cię w łukach gotyku,  
ni w tęczy złotych świc,  
wiem jednak, że schodzisz z błękitu  
na ciszę miedz...

Nie widzę Cię w rzeźbach ołtarzy,  
wśród wonnej kadziel mgły,  
lecz czuję, gdy kładziesz na twarzy  
gwiazdy — jak łzy...

Nie widzę Cię w srebrnych kopułach,  
w krzyżach wzniesionych nad świat,  
lecz wiem, że zmierzchem się tułasz  
przed progiem chat...

Nie słyszę Cię w hymnach i dzwonach,  
gdy w nawy uderza śpiew,  
lecz słyszę Cię w burzy i gromach  
i szumie drzew...

Nie słyszę Cię w świetnych sklepieniach,  
w „Hosanna” pijanych dniach,  
lecz w marszu żałobnym Chopina,  
w cmentarnych bzach...

Nie słyszę wśród świątyn ogromu,  
w szale organów i trąb,  
lecz w trasku walących się domów  
i huku bomb...

I nie wiem, czy dajesz nam życie  
i kładziesz na oczach śmierć —  
wiem tylko, że wszystkim o świecie  
pukasz do serc...

Słyszałem, że jesteś Miłością,  
że chronisz każdy nasz próg,  
lecz czemu w nas sypiesz ciemnością  
i pyłem dróg...?

Lecz wierzę — w Dobroci wieczystej  
świu rozpalisz znów skry,  
że wkrótce już niebem ojczystym  
otrzesz nam łzy...

Janusz Wedow

## W WARSZAWIE...

(dokończenie ze str. 1)

może przysiąść się do ich stołika.  
Dostaje odpowiedź przywołającą.  
Siada, zamawia butelkę wódki i 4  
kieliszki. Na sali poruszenie, wiele  
osób zna go z widzenia i wie, że to  
Polak. Napełnia kieliszki i zwracając  
się do Niemców wstaje i po polsku  
głośno wznosi toast za zdrowie. Wiel-  
kiego wodza Trzeciej Rzeszy Adolfa  
Hitlera”. Żołnierze od niechcenia  
wstali i z pogardą patrząc na niego  
umoczyli usta w wodce. Nagle szyb-  
kim krokiem podchodzi piękna kel-  
nerka i z całej siły daje w twarz nie-  
fortunemu mówcy. Powszechna kon-  
sternacja. Niemcy szybko płacą ra-  
chunek, wychodząc skłonili się z sza-  
cunkiem przed kelnerką: „auf Wieder-  
sehen gnädige Freulein”. Nawpół  
ogłuszony i ogłupiały pijak posiedział  
jeszcze 5 minut, po czym wśród po-  
wszechnego milczenia i pogardy wy-  
szedł. Więcej już się w tej kawiarni  
nie pokazał. Pełna temperamentu  
panna została aresztowana. W 3  
miesiące później, w innych już oko-  
licznościach i za inną sprawę.

## SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

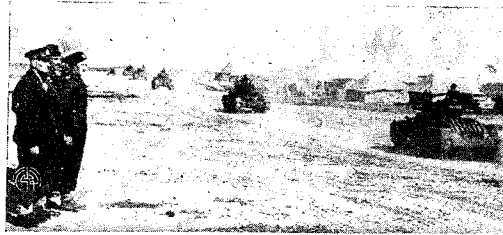
DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

BĘDZIEMY BEZ WAHANIA ODDAWALI POLSCE ŻYCIE NA-

JĄTEK I SZCZĘŚCIE OSOBISTE.

BĘDZIEMY WALCZYĆ Z WŁASNYM WYGODNICTWEM.

# DOWÓDCA PAIFORCE'U GEN. POWNALL



# WŚRÓD POLSKICH ODDZIAŁÓW

Jesteśmy gdzieś na skraju irackiej pustyni. Na skrzyżowaniu dróg, opodal zapyłonego palmowego gaju, stoi polska kompania honorowa z orkiestrą. Obok grupa generałów i wyższych oficerów Armii Polskiej na Wschodzie. Przybywa gen. Anders. Za chwilę, poprzedzany przez czterech polskich żandarmów na motocyklach, nadjeżdża samochód, z którego wysiada brytyjski generał. Szczupły, siwawy, średniego wzrostu, z nieodłączną laseczką pod lewym ramieniem. To nowy dowódca wojsk sprzymierzonych w Iraku i Iranie (w skróceniu nazwanych „Paiforce”), gen. sir Henry R. Pownall przybywa, by zapoznać się z wojskiem polskim pozostającym pod jego rozkazami.

Przegląd i przemarsz kompanii honorowej wyczerpują część ceremonialnego programu wizyty.

Karawana samochodów wioząca dowódcę „Paiforce”, dowódcę Armii Polskiej na Wschodzie, i szefów sztabów oraz szereg brytyjskich i polskich oficerów zagłębia się w pustynię.

Na wyboistej drodze ruch jak na szosie podwarszawskiej. Niejednokrotnie maszyny generalskie przebijają się muszka przez grube ściany kurzu wzniesianego przez samochody jadące w przeciwnym kierunku. Na wszystkich spotykanych wozach znaki polskie, oraz odznaki formacji. Gryfy i żubry. Jesteśmy na terenach dywizji pomorskiej i kresowej.

Jakże wiele zmieniło się tutaj od czasu, gdy armię polską odwiedzał poprzedni dowódca „Paiforce” gen. sir Henry Maitland Wilson. Było to w październiku ub. r., wkrótce po naszym przybyciu z Rosji. Kopański z Karpaczką stał jeszcze w Palestynie, a wojska, które ewakuowano z ZSRR miały tylko to co na sobie. Jedyną naszą bronią były wówczas menażki, które dla wygodniejszych po kilkoletnim poście żołnierzy były stale za małe. Nawet szwadron honorowy, wystawiony na powitanie gen. Wilsona przez oddział przyboczny dowódcy Armii, nie posiadał broni, ale za to maszerował tak wspaniale, że generał brytyjski nie mógł powstrzymać się od rzucenia uwagi: „doskonałe wojsko”.

Dziś pustynia tętni rytmem wytężonej pracy, buczy warkotem motorów, grzmi wystrzałami ćwiczebnych salw.

Gdzie okiem sięgnąć namioty, maszyny i wojsko.

Mijamy rejon jakiegoś pułku artylerii. Baterie wróciły dopiero co z wczesnych ćwiczeń porannych i teraz kanonierzy starannie wyczyściwszy działa zakładają na wyloty linf brezentowe pokrowce. W oddali przesuwają się sylwetki małych, zgrabnych „carrierów”, na pierwszym z nich biało-czerwony proporczyk. Gdzieś trzeszczą urywane serie ciekawców. Gdzieniedzie grupa żołnierzy siedzi na ziemi, skupiona wokół jakiegoś pudełka. To łączność, radio.

A przede wszystkim samochody, samochody... Az dziw skąd się tylu kierowców znalazło wśród polskich żołnierzy. Tajemnicę wyjaśniła mi mło-

dy, energiczny rotmistrz, dowódca jednego z najświetniejszych naszych pułków. „Całą zimę prowadziliśmy intensywne szkolenie kierowców” mówi. „U mnie w pułku, każdy żołnierz musi nie tylko umieć prowadzić samochód, ale także znać motor na tyle, aby samemu usunąć defekty. Rezultaty osiągnęliśmy już bardzo poważne.”

Kolumna nasza skręca w kierunku olbrzymiego skupiska charakterystycznych, brązowych namiotów. To szpital Nr 2. Dowódca „Paiforce” świadom, że zdrowie wojska stanowi w znacznej mierze o sile armii, wyraził życzenie rozpoczęcia inspekcji od miejsca, gdzie leczą się chorzy żołnierze.

Szef Sanitarny Armii oraz komendant szpitala udzielają wyczerpujących wyjaśnień. Specjalne zainteresowanie objawia gen. Pownall dla oddziału chirurgicznego. Dokładnie zwiędza sale operacyjne, pyta ilu chorych może oddział pomieścić na wypadek rozpoczęcia działań wojennych, ilu posiada lekarzy, czy jest zaopatrzony w samodzielne źródło energii świetlnej. Interesuje się też dowódca „Paiforce” chorobami tropikalnymi, zapytuje jak żołnierze znoszą azjatycki klimat, czy szpital dysponuje niezbędnymi lekami.

Po zwiedzeniu szpitala udajemy się na pole ćwiczeń. Najprzód oddział piechoty przeprowadza pokaz

marsz i wylądowanie baonu straży przedniej. Na terenie manewrów rozlokowana jest pełna brygada. A jednak z punktu obserwacyjnego początkowo niczego prócz skał i piachów nie widać. Z największym trudem dostrzegamy kilka samochodów, całkowicie zresztą zamaskowanych przed okiem lotnika. „Na wojnie nowoczesnej — objaśnia mnie jeden z oficerów sztabowych — umiejętne maskowanie się jest jednym z zasadniczych warunków osiągnięcia sukcesu. W przeciwnym razie lotnictwo nieprzyjacielskie przedwcześnie odkryje i zniweczy nasze zamierzenia”.

Z pobliskiego wozu wylania się „carrier”. Za nim drugi, trzeci. To patrol rozpoznawczy baonu. Później drugi wąż samochodów załadowanych piechotą, przelatany ciągnikami z działkami ppanc. „Zmotoryzowany batalion piechoty w ruchu ciągnie się na przestrzeni kilku kilometrów” — zaznacza jeden z oficerów.

Ćwiczenia skończone. Nagle skały, piaski i drzewka wokół nas zaczynają się ruszać. Zawszą wytażą żołnierze. Ciągną cekaemy, armatki ppanc i plot, usuwają z samochodów siatki maskujące. Milczące i puste dotychczas pole manewrów ożyło. Szybko ładuje się wojsko i sprzęt na samochody i po chwili wszyscy

„Silniki w ruch.” Z chrzęstem ruszają groźne maszyny. Wszystkie z wyjątkiem jednej, w której znajduje się dowódca jednostki. Przez radio ze swego wozu dowódca wydaje rozkazy swemu oddziałowi, wykonywującemu ćwiczenia w oddale niu około 1 km. Ciężkie, pozornie niezgrabne potwory wykonują nakanane manewry sprawnie niczym balet Ney'a. Drży ziemia, gdy po zakończeniu ćwiczeń przechodzą w defiladzie przed obu dowódcami armii.

Odjeżdżamy na tereny zajęte przez koncentrację pułków kawalerii. Dłużej zatrzymuje się dowódca „Paiforce” przy kursie nawigacji pustynnej, który prowadzi znany całej armii z wyczynów bojowych ppor. A. B., uczestnik walk pod Narvikiem, we Francji i w Tobruku. Ćwiczenia w terenie rozpoczynają „carrierzy”. Z wielką szybkością pędzi oddział tych ruchliwych wozów. Ukazuje się nieprzyjaciel. omentalne zatrzymanie się wozów z równoczesnym zwrotem o 180 stopni. Manewr ten wykonano nie łamiąc wyrównanej linii frontu.

Najefekowniejszą częścią populudniowych pokazów były jednak bezsprzecznie popisy czwórki małych, 3-osobowych wozów pancernych typu „Morris”. Była to już niemal akrobacja maszyn.

„Powiedz mi co czytasz, a powiem ci kim jesteś” mówi przysłowie. Można je aktualnie strawstować. „Powiedz mi co najwięcej interesuje generała w czasie inspekcji, a powiem ci, jakim będzie dowódca”.

Możemy stwierdzić, że więcej od najpiękniej wykonanych ćwiczeń interesowało dowódcę „Paiforce” to, co jest duszą nowoczesnej armii, sprzętna, od której uzależnione jest funkcjonowanie tego skomplikowanego aparatu. Pracownie techniczne.

Nazywa się to skromnie „kompania warsztatowa” albo „warształem reperycyjnym”. a jest rzeczywiście wielką fabryką. Wśród huku motorów i zgrzytu pilników gen. Pownall czuł się w swoim żywiole. Ogłądał remontowane silniki, sprawdzał śrubki, badał lufy działek oddanych do naprawy. Rozmawiał z majstrami i robotnikami. Zainteresował się prze-krojem silnika, który w modelarni przygotowywały trzy zgrabne „pesteczki” o zamorusanych po łokcie rękach, lecz nienagannie używanych główkach i wykarminowanych ustach. Wszedł do spawalni i do stolarni. Czuło się, że rozumie sens wielkich przemian jakie zaszły w wojsku, że wie jak wielką rolę odgrywa dzisiaj technika.

Późno już było, gdy sir Henry Pownall zakończywszy inspekcję ndał się do siedziby Dowódcy Armii Polskiej na Wschodzie.

Obok szosy, którą jechał, posuwała się zwolna wielka karawana. Wielbłądy jak i Arabowie, którzy je wiedli, kroczyli godnie i obojętnie nie zwracając uwagi na to niezwykłe dla pustyni życie wrące dookoła. Można odczuwać, że niezadługo trąbki zagrają, zwiną się miasta namiotów a ten nieznan, dziwny lud ruszy w ostatni etap swej rycerskiej wędrówki.

Zbigniew Racięski



Gen. Pownall i gen. Anders przyglądają się ćwiczeniom

sposobów pokonywania przeszkód drotowych. Potm obserwujemy technikę ognia w czasie szturmu patroli, wreszcie oddziały saperów i piechoty przeprowadzają natarcie na umocnienie gniazda oporn. Nie obyło się bez ofiar. Jednemu żołnierzowi z obsługi granatników, wskutek jego własnej nieostrożności, pocisk skatczył rękę. Na szczęście „obecna i przytomna” siostra sanitarna szybko i sprawnie na oczach generacji opatrzyła ranę.

Następnym punktem ćwiczeń pokazowych jest załadowanie, prze-

tonie w kłębach gęstego, żółtego pyłu. Jedziemy na obiad.

Popołudnie przeznaczone było na wizytację broni pancernej, więc oddziałów czołgów i szybkich jednostek rozpoznawczych.

Długa linia stanęły żelazne, ruchome fortece. Przed nimi wyprostowane na baczność załogi. Chłopcy młodzi, na schwał. W lotnictwie i broni pancernej mamy najlepszy materiał ludzki. Tak zresztą być musi.

Padają słowa komendy — „Do wozów”. Zgrzyt podkutych butów wdra-pujących się na pancerce czołgów.

# RÓŻOWE I CZARNE

— Czołem Ciotek! — przyjazne szare oczy mróz się w uśmiechu. Nie widziałem cię już dobry miesiąc.

— Współczuję.

— Chyba tego, żem się znowu musiał na ciebie napatoczyć. No, ale skoro już nie można inaczej, to ci powiem, że zdobyłem się na przeczytanie od deski do deski twojego artykułu o tym kapitale. Spodziewam się, że wiele grzechów będzie mi w zamian odpuszczonych.

— Musiałeś na tę „obronę kapitału” zgryzać wężami?

— Sądziś widocznie, że nadal nie odróżniam kapitału od kapitalisty. Dziękuję za mniemanie o mojej pojomości.

— Nie mogę przecie wymagać od literata, by się rozumiał na ekonomii.

— Nie myśl, że literat nie styka się z ekonomią. Choćby przy obliczaniu honorariów... Nawet teraz mam zagadnienie gospodarcze: czy możesz mi pożyczyć pół dinara?

— Zastępuję na dwój w tym ćwiczeniu praktycznym, ale cóż robić — służę ci.

— Wziaman skrytykuję artykuł, o którym mówiliśmy. Z tym kapitałem, naturalnie zgoda, że nie wadzi go mieć więcej. Ale razi mnie, gdy wciąż zaliczasz Polskę do krajów „niezasobnych”, a nawet „ubogich”. Ten argument rzekomego ubóstwa zawsze wysnawano w kraju, dla utraćenia czyjejsz inicjatyw.

— Nasuwała go rzeczywistość.

— Widziś, nasze literackie rzemiosło polega na tym, żeby szczegółów rzeczywistości nie odtwarzać z wiernością fotograficzną, ale je przetwarzać, wydobywać aspekty mniej łatwe do dostrzeżenia. Mówisz: rzeczywistość. Zapewne, nie mieliśmy dużo pieniędzy, albo samochodów, ubóstwo wsi podkarpackich czy poleskich granicyzły z nędzą, wygląd miast pozostawał wiele do życzenia. Ale czy to jest cała rzeczywistość? Mamy przecież podstawowe składniki bogactwa: ziemię, surowce, obfitość rąk do pracy. Jeśli wy, panowie ekonomiści, nie potrafiliście tego wyzyskać, to walcie się w pierśi zamiast szerzyć pesymizm stękaniam, że Polska jest uboga.

— Oceniam optymistycznie niż ty czytelników, jako ludzi dojrzałych do męskiego przyjmowania prawdy.

— Zakładasz dowolnie, że twój pogląd jest prawda.

— Oczywiście mogę się mylić, ale chodzi o to, żeby każdy z nas mówił to, co za prawdę uważa, co jest jego prawdą. Ale rozważmy treść twojego rzekomego optymizmu. Gdybyśmy mieli wszelką łatwość rozwoju gospodarczego i nie potrafili z niej skorzystać, oznaczałoby to, że jesteśmy narodem leniuchów, czy niedołęgow. Dziękuję za taki optymizm! Ja widzę rzeczywistość więc odwrótnie: w niezwykłe trudnych warunkach, mimo

olbrzymich przeszkód, zdobyliśmy się na Gdynię, COP, scalenie ok. 6 milionów ha gruntów i parcelację półtrzecia miliona ha, na spore budownictwo miejskie, rozbudowę szkolnictwa i opieki społecznej, no i na armię, która opierała się 5 tygodni największej potędze militarnej świata. To wszystko bez obniżenia stopy życia ludności, raczej przy pewnej poprawie.

— Przeczyś teraz własnemu twierdzeniu o naszym rzekomym ubóstwie.

— Naszemu ubóstwu nie da się, niestety, zaprzeczyć, jeśli przykdamy skalę europejską, nie azjatycką, czy afrykańską. Rzeki w Polsce nie są uregulowane, grunty — zmierowane, sieć komunikacyjna jest rzadka, w miastach brak mieszkań, wiele innych braków — wszystko dla niedostatku środków. Niemcy na krótko przed wojną wydawali miesięcznie na zbrojenia tyle, albo i więcej niż wynosił nasz roczny budżet państwowy.

— Osiągnięć byłoby więcej, gdybyście robili mniej błędów.

— Ależ oczywiście! Były błędy, nawet ogromne. Byłoby cudem, gdyby młody, z konieczności improwizowany aparat państwowy kraju pozabawionego samodzielności przez 123 lata pracował od razu bezbłędnie. Trzeba się było uczyć i jeszcze wypadnie się uczyć. Ale i przy założeniu niepełnienia błędów byłibyśmy krajem ubogim w porównaniu z północno-zachodnią Europą.

— Rozumiem, że nie mogliśmy przez lat 20, z czego kilka poszło na odbudowę zniszczeń wojennych, dorobić się zasobów kapitału. Utrzymuję też od początku rozmowy, że naszym bogactwem są ludzie i przyroda, nie kapitał.

— Pogląd, jakoby „praca stanowiła największe bogactwo”, a „obfitość rąk wynagradzała brak kapitału” pokutował u nas dość powszechnie. Jest raczej odwrotnie: im więcej rąk, tym więcej trzeba kapitału, by je użytecznie zatrudnić. Zastępowanie braku kapitału przez większy nakład pracy bywa konieczne, ale im dalej odbiegamy od właściwego stosunku między pracą a kapitałem, tym mniejsza wydajność pracy, tym mizerniejszy jej wynik na każdą parę rąk. Im zaś więcej rąk, tym więcej także ust do nakarmienia. Niedostatek kapitału np. komunikacyjnego powoduje zastój całych połaci kraju, a w każdym razie dotkliwie hamuje obroty gospodarcze, a więc zmniejsza rozmiary zatrudnienia.

— Sam kiedyś mówiłeś, że człowiek jest czynnikiem rozstrzygającym.

— Ależ tak! Największy kapitał bez człowieka nie ma znaczenia, a źle przez człowieka użyty może mieć nawet znaczenie ujemne. Kapitał jest wytworem naszej pracy, nie odwrot-

nie. Aby jednak w dalszej pracy mieć wyniki nie mniejsze niż inni, trzeba przy dzisiejszym poziomie techniki nagromadzić sporo kapitału i we właściwych postaciach. Określanie pracy jeszcze nie wykonanej słowem „bogactwo” jest balamutne. Mało kapitału w stosunku do ludności oznacza niski dochód na głowę, temu zaś odpowiada właśnie słowo „ubóstwo”. Nie jest ono hańbą, ale jest stanem, z którego będziemy musieli możliwie szybko się wyzwolić, gdyż ze słabością gospodarczą idzie w parze słabość polityczna.

— A czy nie przypuszczasz, że ten brak kapitału i skąpe dochody na głowę wydawały się tak jaskrawe z powodu ich nierównomiernego podziału? Odpowiednikiem między chłopnika były olbrzymie dochody różnych dyrektorów, prezesów i wręcz spekulantów. Gdyby im odjąć, może starczyłoby dla wszystkich?

— Za mało było w Polsce tych bogatych, aby się można było łączyć, że równy podział znacznie by zwiększył dochody ogółu. Sprawa podziału dochodu społecznego jest ważna i zasługuje na osobną rozmowę, jeśli będziesz miał kiedyś czas i ochotę. Ale trudności wynikających z ubóstwa nie da się przeskoczyć. Jedyną radą jest wytworzyć potrzebny kapitał upartą pracą wielu lat.

— Znowu kraczesz jak pesymista.

— Przeciwnie: wyznaję krzepiący pogląd, że potrafimy to zrobić. I to pomimo, że trzeciego czynnika, obok pracy i kapitału, rozstrzygającego o wynikach produkcji — przyrody nie oceniam tak różowo jak ty.

— Czyż masz do zarzucenia naszej przyrodzie? Ze trochę chłodniej niż tutaj i nie rosną daktyle? Już ja tam wolę nasze zimno od tutejszych upałów.

— Porównanie z Sahara, czy z Grenlandią wypadnie jeszcze dla nas korzystnie. Nasz klimat nie jest najgorszy, pracę ludzką w zupełności umożliwia, ale rzecz w tym, że zachodnia Europa, a nawet Niemcy, a więc kraje, które chcemy doścignąć i prześcignąć, są wobec nas uprzywilejowane. Nasz klimat jest bardziej ładowy — surowszy. Ostrzejsza i dłuższa zima obciąża większym kosztem zaopatrzenia i ogrzania mieszkań, ciepłej odzieży, utrzymania zwierząt. Okres prac w polu i wegetacji jest krótszy. Dotkliwie krótszy jest sezon pastwiskowy. W wyborze roślin uprawnych nasz rolnik ma mniejszą swobodę niż jego zachodni kolega: musi wybierać te, które nie zmarzną.

— A głęby?

— Polska, jak ci wiadomo, była przed wieloma tysiącami lat obszarem złodowacenia. Lodowce zbyt głęboko przeorały powierzchnię naszych ziem wydobywając składniki podglebia. Skutkiem tego jest ogromna pstrakacizna gleb, utrudniająca uprawę, a także — ich ogólne ubóstwo. Polska i Niemcy należą do najuboższych glebowo krajów wielkiego rolnictwa. Tylko nasz południowy wschód, nie dosięgnięty przez lodowce, zachował żyzne gleby stepowe. Ale tego, nawet razem z żyzniejszymi wyspami w reszcie kraju jest zaledwie jedna piąta ogólnej powierzchni.

— Obawiam się, że wkrótce mi udowodnisz, iż nie mamy węgla, żelaza, cynku, ołowiu, srebra, ropy naftowej, soli kuchennej i soli potasowych, fosforytów, kadmu, wosku ziemnego, gazów ziemnych, znokmitych glin łącznie z kaolinem,

kamienia budowlanego, lasów — w ogóle naturalnych bogactw.

— Wcale nieźle to wylczyłeś. Tylko widzisz — takie wylczenia działają może na wyobraźnię, ale wypaczają obraz rzeczywistości. Po mniemaniu przecie rzeczy ważne z drobiazgami, jak ów wosk ziemny, kadm, czy ślady srebra. Węgiel — tak, to duże nasze bogactwo. Sól i sole potasowe także mają znaczenie. Glina i kamień w obfitości, chociaż tak położone, że wymagają bardzo odległych przewozów. Nasze wydobyte ropy naftowej zajmowało kiedyś trzecie miejsce w świecie, ale od 1909 r. kurczy się i już zaledwie pokrywało potrzeby, które przecieć muszą wzrosnąć.

— To z powodu niedostatku wiercień.

— Być może. Ale gdzie jest pewność obfitych źródeł, nie trzeba zachęcać do wiercenia. Jeszcze gorzej jest z metalami. Rudy żelaza tak są ubogie jakościowo i ilościowo, że nasze skromne hutnictwo pracowało przeważnie na rudach obcych. Rudy cynku są bliskie wyczerpania, ołowiu — nie wiele. Powinniśmy otrzymać nieco tych rud na Śląsku Opolskim. Fosforyty — niedogodnie położone i niskoprotentowe — surowiec ten przywoziliśmy z Tunisu, Algieru, z Ameryki. Mogą się jeszcze w Polsce znaleźć cenne złoża mineralne, wyniki badań Państw. Instytutu Geologicznego były zachęcające. Ale byłoby za wcześnie budować na tych nadziejach. W granicach zaś pewności jesteśmy krajem uposażonym w surowce mineralne raczej skromnie, chociaż lepiej niż np. Włochy lub Węgry.

— Pominąłeś lasy.

— Niezbyt jeszcze dawno wyobrażano sobie w świecie Polskę jako kraj puszcz. Nasza powierzchnia leśna kurczyła się jednak stale. Ostatnio zajmowała zaledwie 21% powierzchni kraju. Wywoziliśmy sporo drewna, ale przy większym rozwoju gospodarczym nie mielibyśmy nadmiaru. Niemcy mieli 26% powierzchni pod lasem, a jeszcze wiele drewna importowali. A ile zniszczył rabunkowa gospodarka okupantów?

— Nie chcesz tego nazwać pesymizmem, ale czuję się po tym całym wywodzie wręcz przybitym.

— Wybacz, jeśli pozbawiłem cię niektórych złudzeń. Ale na gruncie bajek nie trwałego nie stworzymy. Na tym samym gruncie Niemcy szerzą ulubioną antypolską legendę o „Polnische Wirtschaft” — polskiej rzekomemu nieudolnej gospodarce, nie umiejacej skorzystać ze znakomych warunków. Analiza tych warunków wykazuje nieubлагanie, że pracowaliśmy w niezbyt korzystnych warunkach przyrodzonych, w fatalnych wersalskich granicach, nieustannie zagrożonych, w otoczeniu sąsiadów narzucających nam wojny gospodarcze na długo przed rozprawą orężną, przy odziedziczonym braku podstawowych form kapitału, po zniszczeniach wojennych i nieuzyskaniu odszkodowań, przy nikłym dopływie środków z zewnątrz, bez zorganizowanego aparatu państwowego, nie licząc takich „drobiazgów” jak konieczność unifikacji. Z podobnym zespołem trudności gospodarczych w tym okresie nie walczył żaden naród. Fakt, żeśmy się w takich warunkach nie cofnęli, a mimo błędów szli naprzód, to właściwa podstawa, na której opieram już nie optymizm, ale dobrze ugruntowaną wiarę w przyszłość.

Michał Ciotek



Piechota brytyjska przed zwycięskim natarciem na linię Maretha

# TOTALNA MOBILIZACJA

Niemcy przeprowadzają totalną mobilizację w Europie. Bliższych o niej szczegółów dowiedzieliśmy się z wielkiej manifestacji, zaaranżowanej w lutym przez Goebbelsa w odpowiedzi na wieści o zmęczeniu narodu niemieckiego i o kryzysie psychicznym w Niemczech.

Goebbels zgromadził w Sportpalasie przedstawicieli wszystkich warstw, stanów i zawodów, by nadać swemu audytorium charakter reprezentacji narodu niemieckiego. Samemu przemówieniu Goebbelsa trudno odmówić dużej siły, a całemu wiecowi dobrze wyreżyserowanej efektywności. Pogłoska, jakoby mowa zawierała propozycję pokoju jest nieścisła. Goebbels istotnie powtórzył na początku motyw o zagrożeniu Europy, uzupełnił go nawet przemawiającym do wyobraźni ostrzeżeniem, że „bolszewizm nie zatrzyma się przed Kanalem, ale przekroczy Kanał”, lecz tak silnie związał „żydowskich twórców komunizmu” z „plutokracją anglosaską”, że już przez to samo odciął sobie możliwość kokietywania choćby tylko Anglii.

Obraz sytuacji, jaki dał Goebbels, był istotnie ponury (radio londyńskie określiło to mowę jako jedną z najbardziej ponurych mów niemieckich ostatnich czasów). Mówca nie szczędził dramatycznych kolorów. Chodziło mu przecież o to, by wydobyc entuzjastyczny poklask dla ciężkich ofiar, jakie swoimi zarządzeniami mobilizacyjnymi nałożył ludności Rzeszy. Cel ten mógł osiągnąć tylko przez przeciwstawienie grozie sytuacji — fanatycznej woli pokonania trudności, choćby największym kosztem.

Do chwili, gdy armie niemieckie utknęły pod Stalingradem, a Amerykanie i Anglicy wyładowali w Afryce półn., mowy przywódców narodowo-socjalistycznych były mniej lub więcej kwiecistymi sprawozdaniami z niewywałych sukcesów, mniej lub więcej przekonującym uzasadnieniem, dlaczego — pomimo nieustannych zwycięstw — przeciętny obywatel niemiecki nie odczuwa ulgi w ograniczeniach, jakie nałożono nań jeszcze na wiele lat przed wojną, mniej lub więcej schematyczną powtórką motywów, które kierowały Fuehrerem w walce o władzę i o wyzwolenie narodu niemieckiego z pęt dementu - judéo - bolszewizmu i mniej lub więcej gniewnym wyrażaniem się wrogom. Gdyby nie bombardowania, Niemcy właściwie do jesieni 1942 r. nie czułyby wojny.

Gdy w r. 1933 dostali nowego pana, lubującego się w teatralnych widowiskach, gdy wkrótce okazało się, że konkretne obietnice, czynione uprzednio poszczególnym grupom narodu nie mają być na razie spełnione wobec konieczności ratowania ojczyzny — większość czekała tylko, rzychnęła się „dieser ganze Spuk” skończy. Dawni przywódcy Niemiec — tak wielką w życiu parlamentarnym odgrywający rolę — długimi seriami ginęli w zapomnieniu, a całe życie w Niemczech powlekało się brunatnym polem „totalnej rewolucji”.

Nawet młodzież konserwatywna data się pociągnąć demonicznemu „realizmowi” nowej polityki, a korpus oficerski — jedna z najzdrowszych instytucji w Niemczech przedhitlerowskich — po krwawej kąpieli „puczu” Roelma i po wprowadzeniu powszechnego obowiązku służby wojskowej przestał sprzeciwiać się połączeniu w jednej osobie funkcji naczelnego wodza, kanclerza i szefa partii, tj. praktycznie wydaniu na pastwę „totalnej rewolucji” ostatniego bastionu

Niemiec konserwatywnych. Wątpliwości, jakie krok ten mógł obudzić w sumienniejszych oficerach niemieckich, poszły w zapomnienie, gdy intuicyjna strategia Hitlera poczęła odnosić swoje błyskotliwe triumfy.

Z chwilą, gdy Hitler przełamał opór swego sztabu przeciwko rozpoczęciu kampanii na wschodzie, „totalna rewolucja” weszła w swój okres heroiczny: otwarcie frontu na wschodzie było obaleniem ostatniego dogmatu niemieckiej myśli politycznej, tj. tezy, że należy unikać walki na dwa fronty. Od tej chwili wszystko utonęło w „realistycznej” względności, wszystko stało się dziedziną improwizacji i — poza wrogami zewnętrznymi — „rewolucja totalna” nie napotykała nigdzie na opór.

Ostatnią pozostałością psychiki „początkowego Michałka” — z którą przeciw Hitler przez całą swoją karierę walczył — okazał się ten anonimowy lud niemiecki, który — znosił swoje obywatelskie cierpienia hitlerowskiego poddanego i z założonymi rękami czekał, aż się „dieser Spuk” skończy. Jego najbliższym towarzyszem okazał się natomiast — dosyć niespodziewanie — neo-Michałek partyjny, dostojnik hitlerowski i beneficjent narodowo-socjalistycznej maszyny administracyjnej.

Atak na te pozostałości — oto treść „totalnej mobilizacji”. I właśnie wśród „biernych widzów” heroicznych zmagających Trzeciej Rzeszy i wśród owych staro- lub nowo-bogackich pasożytów społecznych reżimu, Goebbels wyszukał sobie wrogów, w których bił przez prawie dwie godziny najcięższymi inwektywami i pogroźkami.

Obecna sytuacja strategiczna Rzeszy jest w gruncie rzeczy ową tak długo przez hitlerowców przygotowywaną sytuacją rewolucyjną, która umożliwi im nareszcie do końca znieść rewolucji, tj. nczynienie z Niemiec drugiego w Europie kraju, w którym wszystkie prawdziwe elementy ładu politycznego wchłonęła totalna rewolucja.

Tym, a nie czym innym, tłumaczy się zarówno ferwor i sprężysty elan mowy Goebbelsa, jak i frenetyczny zapal audytorium. Manifestacja w Sportpalasie była w tym sensie wydarzeniem historycznym, które po ostatnio resztę świata zmusić do zastanowienia i zasadniczej rewizji poglądów na Niemcy i ich rolę w Europie XX wieku. Wołający o najcięższe ofiary i emfaticznie na nie zgodę uzyskujący Goebbels, to nie obraz przywódcy narodu, który porwya swoich rodaków do heroicznego wysiłku, to pogromca totalistyczny, który wreszcie uzyskał nieograniczoną władzę nad treshowaną tak długo, a wciąż jeszcze nie dość posłuszną masą ludzką, która niegdyś była narodem niemieckim.

Przyjrzyjmy się bowiem zamysłom, na które Goebbels wyłudził od swoich słuchaczy całkowitą, długimi brawami i okrzykami manifestowaną zgodę. Na pierwszy plan w tym kraju klasycznej socjaldemokracji wysuwa się... szesnastogodzinny dzień pracy. „Czy zgadzacie się, — jeżeli Fuehrer tego zażąda — pracować po 10, 12, 14 a nawet 16 godzin na dobę?” — krzyczał chrypnąc minister propagandy Rzeszy i gauleiter Berlina. „Chcemy” — odpowiedział tłum w gorączkowym zapale.

W innym państwie totalistycznym co prawda nie potrzeba niczyjej zgody, gdy chce się kogoś zmusić do dzie-

sięciu, dwunastu czy szesnastu godzin pracy na dobę. Ale ta totalna rewolucja doszła do władzy przez zamach stanu, a nie drogą pięcioprymiotnikowego głosowania i rewolucja ta nie potrzebuje demonstracji wobec świata swojej wewnętrznej zwartości. Ona raczej musi maskować swój rewolucyjny charakter, jej zależy na tym, by ukryć jak najstaranniej, że jest groźbą dla całego świata. Hitlerowcy natomiast muszą dołożyć wszelkich starań, by zarówno na wewnątrz, jak i na zewnątrz utrzymać fikcję, że reprezentują naród niemiecki. Naród się zgadza — oto triumf Goebbelsa, a tym samym Hitlera. „Plebiscyty” z 98% wynikami, to specjalność brunatnych władców. Niemniej fascynujące są inne punkty programu, na które Goebbels uzyskał placet swojego narodu: „oddać wszystko dla sprawy zwycięstwa”, „wojna bardziej totalna, niż to sobie w ogóle można wyobrazić”, „stuprocentowa praca kobiet i wymaganie od nich, by całkowicie zastępowały swoich męskich poprzedników przy danym warszacie pracy”, „obniżenie standardu życia”, „likwidacja luksusu aż po zamknięcie zakładów fryzjerskich”, „bezwzględne, drakońskie zarządzenia przeciwko dekonnikom, markierantom i paskarzom”, wreszcie „równe prawa i obowiązki dla wszystkich”.

Przy tej okazji Goebbels kazał swoim Niemcom przysięgać, że wierzą w zwycięstwo oręża niemieckiego, że brzydzą się rozsiewanymi przez Anglików oszczerstwami, jakoby Niemcy przestali myśleć o walce, a natomiast myślą o kapitulacji, że wcale nie są zmęczeni wojną, że nie boją się wojny totalnej i że mają nadal pełne zaufanie do Fuehrera. Punkt o dekonnikach i paskarzach zawierał nast. słowa: „Czy chcecie, żeby stracił głowę, kto dopuści się występuku przeciwko wojnie?” Zgoda na ten szczególnie hucznie oklaskiwany dezzyderat rządu będzie dla Hitlera w pewnej chwili cenniejsza, niż nawet na 16-godzinny dzień pracy.

Z pokrewieństwa rewolucji niemieckiej z komunizmem zdaje sobie dobrze sprawę Hitler — jak o tym świadczyć jego wyznania wobec Hermana Rauschninga — równie dokładnie musi to rozumieć Goebbels, który właśnie w swojej ostatniej mowie zapowiadając ostre środki zaradcze — brak żołnierza i rąk robotczych — zapowiedział, że „na metody bolszewickie Niemcy muszą odpowiedzieć — jeżeli nie równymi — to w każdym razie równoważnymi metodami”. Pewne jest, że hitlerowcy będą swoje „jeżeli nie równe bolszewickim, to równoważnościowe” metody stosowali bez wstępu, a nawet bez przykrości. Jeżeli dotychczas przeczuli, jakoby je już stosowali, to tylko dla tego, że brakowało im: tak przekonującego argumentu, jak konieczność zwalczania metod bolszewickich. Dziś można się już nie krepować, bo dziś metody bolszewicko-hitlerowskie usprawiedliwia popularne hasło „klin klinem”.

Dotychczas można było bronić rewolucyjnych metod, gdyż stosowało się je wobec Żydów i innych „wrogów Niemiec”, obecnie sytuacja historyczna pozwala wreszcie w sposób legalny stosować je także do swoich. Oczywiście, Niemcy będą i tym razem ostatnimi ofiarami nowych zarządzeń. Totalna mobilizacja została bowiem przede wszystkim ogłoszona w Czechosłowacji i w Gre-

cji, a istnieją poszlaki, że niebawem wprowadzona będzie we wszystkich krajach okupowanych i wasalnych. Goebbels co prawda zastrzegł się, że skoro naród niemiecki ofiarowuje swoją krew w obronie Europy, to reszta kontynentu powinna ofiarować co najmniej swoją pracę, ale takie zarządzenia, jak przymus zapisywania się Polaków na listy narodowości niemieckiej świadczą o tym, że reżim hitlerowski nie będzie sobie stwarzał sztucznych trudności, gdy trzeba będzie i inne narody europejskie zrównywać z narodem niemieckim w „prawie ofiarowania swej krwi”. W ogłoszonej 25. II proklamacji Hitler oświadczył: „nie będę oszczędzał życia ludzkiego w chwili, gdy my składamy największe ofiary”.

Goebbels liczy się także z tym, że obcy podniosą zarzut, iż hitleryzm jest w gruncie rzeczy bolszewizmem. „Powiedzą, że wprowadzamy zarządzania identyczne z zarządzaniami bolszewickimi — wola — i że właściwie jesteśmy przeciw bolszewikami”. Ale „nie o metody chodzi, tylko o cele, a naszym celem jest usunięcie śmiertelnego niebezpieczeństwa”. Nie o to chodzi, czy metody „są piękne lub mniej piękne”, tylko o to, czy „są skuteczne”.

Bolszewicy wprowadzili swoje metody pod hasłem zbawienia ludu pracującego, hitlerowcy wprowadzają je pod hasłem zbawienia narodu walczącego. Tamci ratowali świat cały, ci to samo twierdzą o sobie. Ale i jedni i drudzy doprowadzają tylko do ostatnich konsekwencji chorobę nihilizmu, która przez długie dziesięciolecia toczyła niewidzialnie organizm Europy, by po wojnie światowej wystąpić jako ciężkie kalestwo. Uchodzący za prekursora hitleryzmu filozof niemiecki Nietzsche — tak rzadko zresztą cytowany przez hitlerowców — 60 lat temu tymi słowami opisywał zjawisko, którego obecnie jesteśmy świadkami: „Wartość takiego kryzysu polega na tym, że oczyszczają, że stłacza pokrewne elementy i zmusza je, by się nawzajem wylepiły oraz, że ludziona o przeciwnych sposobach myślenia narzuca wspólne zadania”.

W tym samym miejscu Nietzsche opisuje także typ psychiczny, który z kryzysu nihilistycznego wyjdzie zwycięsko: „Kto okaże się przy tym najmniej? Najbardziej umiarkowany; ci, którym nie potrzeba żadnych krańcowych artykułów wiary, ci, którzy nie tylko zgadzają się na dużą porcję przypadku w sprawach ludzkich, ale go nawet lubią, ci, którzy potrafili myśleć o człowieku bez wygórowanych pojęć o nim, a których takie wyobrażenie nie przynębia, nie pomniejsza i nie ostatebia: najbogatsi w zdrowie, wytrzymali na największe nieszcześć i dlatego nie obawiający się tak bardzo nieszcześć — ludzie pewni swej siły i reprezentujący ze świadomą dumą osiągniętą moc człowieka”.

W tych słowach nie trudno dostrzec głębszą treść porządku między narodowego, który przyswiewcał autorom „Karty Atlantyckiej”. Bo ludzie, mający stworzyć ten nowy porządek — mogą być podczytani wiecznym lękiem przed nicością, fanatykami — jak hitlerowcy albo bolszewicy — którzy swój głęboki lęk zagluszają nieustannym „realistycznym” i bezcelowym działaniem — ale ludźmi, którym poczucie w zgodności nie odbiera poczucia w wartości.

# „Wydawca, który powinien być bity”

Głód polskiego słowa drukowanego w naszej armii jest olbrzymi. Ci nieliczni żołnierze, którzy nie posiadali dotąd trudnej sztuki czytania, z zapalem uczęszczają na kursy dla analfabetów, lecz kiedy kończą naukę, bezskutecznie proszą o jakąkolwiek książkę. Pisma są pilnie czytane, ale nie mogą w całości zaspokoić potrzeby czytania. Książek zaś wciąż jest zbyt mało. Biblioteczki oddziałowe tam gdzie są — nie wystarczają, a nie wszędzie są.

Tak było do niedawna. Aż nagle w księgarniach Bagdadu, a stąd w rozprowadzających żołnierzy pojawiły się małe książeczki w polskim rzekomo języku. Książki te, w wielobarwnych okładkach, mają dość przystępną cenę, toteż rozchodzą się wśród wojska masami. Tym bardziej, że spragniony lektury żołnierz zapłaci chętnie każdą sumę. Wydawnictwo to nosi wiele obiecującą nazwę: „Powieści Ciekawe”, a w przedmowie do pierwszego tomu, rozpoczynającego nakład, zwraca się do czytelników tymi słowami:

„Szanowny Czytelniku. Nasze wydawnictwo: „Powieści Ciekawe” postawiło sobie za cel dostarczyć Czytelnikom pięknej lektury literackiej. Naszym zadaniem jest wydanie wartościowych dzieł znanych pisarzy, w objętości 48 stron. Falszywe jest twierdzenie, że powieści fascynujące należą do literatury brukowej. Nasze powieści są krótkie. treść ich jest porywająca, a forma literacka. Wydawnictwo: „Powieści Ciekawe”.

Nic dziwnego, że po tak zachęcającym wstępie każdy nabędzie podobną książkę. Zajrzałem więc i ja do jednej z owych powieści, których „treść jest porywająca, a forma — literacka”. Utwór nosił tytuł: „Nie latwo jest umierać”. Autor: Eugeniusz-Reyto, a przełożyła na język polski niejaka Zofia Giernicka. Poszczególne rozdziały tego egzemplarza „pięknej lektury artystycznej” brzmią: „Jeśli sądzonem ci jest umrzeć — przynajmniej używaj!”, „...nawet nieboszczyk musi się z ciężko utrzymywać”, „Życie jest ciężkie ale i śmierć nie łatwa”, „Mister Johnson szuka śmierci, ale zamienia się tylko w ducha”, „Johnson przekonywuje się, że nie ma lęku przeciwko życiu”, „Johnson dowiedział się, że jest zdrow jak ryba, ale musi umrzeć.”

A oto niektóre kwiatki z osłej łąki tego wydawnictwa: „...Dusza jego zdeprawiona była najniebezpieczniejszą trucizną, której na imię — kultura połowiczna...”, „...gdy padł rozkaz, by oddział przeszedł do ataku, Johnson pierwszy wyskoczył z ukrycia i wbił swój bagnet w brodę brodatego Araba, a potem ścinał głowy, chodząc po trupach...” Lub też: „... w rękach Rolinsa znalazł się najeżony karabin, który wisiał na ścianie.” Wreszcie taka mądra sentencja: „...wynioskować łatwo, że śmierć nie jest podobna do zimnej wody z sokiem malinowym, którą każdy, gdy zapagnie, może sobie zamówić.”

Oto na chybił trafił wybrane pierwsze lepsze przykłady z jednej zaledwie książeczki. Tymczasem takich „arcydzieł” jest sporo: „Tajemniczy uczyony”, „Wypadek w Liang-Ho”, „Knock Out”, „Trzy życia mister Jamsona” i tym podobne. Że zaś poziom ich nie ustępuje książce powyżej przeze mnie cytowanej, przyczyną na dowód taki rozkoszny ustęp: „James Gerhard Hamilton był rozgoryczony. Często odczuwał potrzebę modlitwy. W takich wypadkach sła-

dał ręce i modlił się do Pana Najwyższego: Kochany Boże. Tyś mi zawsze pomagał na drodze mego życia. Nie opuść i teraz Twego sługę. Błagam Cię, przyslij kogoś, któryby porządnie wygrzmocił moją córkę Gladys, bym jej przez trzy dni przynajmniej musiał robić zimne okłady. Amen.”

Bzdurstwo to przepisałem z książki p. t.: „Kobieta, która musi być bity”. Nie kobieta powinna być bity, ale autor i wydawca tej powieści.

Byłoby to bardzo wesołe, gdyby nie było takie smutne. W wiadomościach z trudem przedostających się do nas z Kraju raz po raz czytamy, że Niemcy, którzy tępią każdy, choćby najmniejszy przejaw naszej kultury, jednocześnie popierają usilnie wszelkiego rodzaju pornografię i niechlujstwo słowa zarówno w teatrze, jak i w brukowej literaturze. Myślę więc, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że dostarczanie tego rodzaju „strawy duchowej” naszymu

wojsku, można śmiało porównać z działaniem piątej kolumny. Nie proponuję, by czytanie lub nabywanie tych tomików zostało zabronione jakimś rozkazem. Wiem bowiem doskonale, że „zakazany owoc” najlepiej smakuje. Jest jednak lepsza droga Z popytu, jakim cieszy się każda nowo wydana broszura, czy gazeta, nie trudno wywnioskować, że wydawnictwo naprawdę wartościowych krótkich utworów, choćby doskonałych nowel Sienkiewicza, Prusa, Kopnickiej i Żeromskiego, nie tylko byłoby odtrutką przeciwko tej drukowanej zarazie, nie tylko spełnieniem poważnego obowiązku społecznego wobec naszych żołnierzy, ale również doskonałym dochodem dla ludzi z inicjatywą.

Zatem panowie wydawcy! Pieniądze leżą przed wami na ulicy, a na wet na piaskach pustyni wszędzie, gdzie białą się polskie namioty.

Tadeusz Wittlin

## O rewii, Damaszku i fullerfonach...

— Więc piszemy na fullerfonach...  
— Przepraszam, na czym?...

Na fullerfonach — tak się nazywają aparaty telegraficzne. Znamy już doskonale alfabet Morsego — niektóre z nas osiagają 100—110 znaków na minutę.

— A 110 to dużo?

— Tak, pewnie... ja robię właśnie 110 na minutę — mówi blondynka o śmiejących się oczach.

Otacza mnie grupa „pestek” — jedna z nich opowiada o pracy na kursie, o przeżyciach dziewcząt, o wystawianej niedawno przez uczenie rewii. Część przyjechała przed 2 miesiącami z Palestyny. Te opowiadają z entuzjazmem o wspaniałej podróży do nowego m. p.

— Najwspanialsze były 3 dni pobytu w Damaszku — mówi jedna. — Anglicy, w obozie których gościliśmy, obwołali nas po mieście, pokazali starą i nową dzielnicę...

— Ale do meczetów nas nie puszczali! — przerywa jej koleżanka. — Arabowie podobno źle na to patrzają...

— Co tam meczety!... pamiętasz cytadelę?... Wie pan, ruiny cytadeli — na górze, wchodzi się po schodach, idzie się długo, długo, a później całe miasto widać w dole...

— A ja bytam w haremie! — mówi inna.

— Głupia, w haremie...

— A właśnie, że tak... u jednego Araba, miał cztery żony...

— Wracając do kursu — mówi blondynka o śmiejących się oczach — to w Palestynie uczyliśmy się przedmiotów związanych z telefonem i radiem — specjalnie elektrotechniki. No i oczywiście angielskiego... ale oto idzie szef kursu, niech się pan ładnie zamelduje i poprosi o dokładniejsze dane.

Właśnie z kancelarii wychodzi młoda dziewczyna — szef, „Melduję się więc ładnie” i prosi o informację dla gazety. Szef uśmiecha się z wdziękiem i chętnie opowiada:

Zarówno dziewczęta przybyłe z Rosji w jesieni jak i te, które były już w Palestynie, przeszły wstępny kurs łączności. Obecnie kilkanaście dziewcząt, które ukończyły kurs wstępny, dostały niedawno przydzia-

ły jako telefonistki do różnych formacji. Te, które pozostały, uczą się radiotechniki. Oprócz wykładów teoretycznych prowadzi się też zajęcia praktyczne, a więc nadawanie na radiostacjach, telefonach i fullerfonach. Wojsku potrzebne są nie tylko telefonistki, ale i wykwalifikowane radiotelegrafistki — kończy swoje „resumé” szef.

— Może pan chce obejrzeć naszą świetlicę? — odzywa się jedna z dziewcząt.

— Bardzo chętnie — i szef pokazuje mi namiot, w którym stoją stoły i ławki, na ścianie wiszą mapy Europy i Polski, na stolku leżą gry towarzyskie...

— Przed miesiącem — mówi szef — kurs urządził rewję. Znalazły się wśród nas autorki i aktorzy, pieśniarki i malarki. Własnymi siłami wystawiłyśmy program, który bardzo podobał się publiczności. Irka (szef dotyka ramienia młodej, czarnowłosej dziewczyny) zapowiadała numery...

— A ja mówiłam wiersz — odzywa się jedna z dziewcząt.

— A ja śpiewałam — mówi inna.

\* \* \*

Odchodząc zauważyłem jeszcze, jak siedziały za stołem i pisały na fullerfonach. Za kilka tygodni Armia otrzyma wykwalifikowane radiotelegrafistki.

Życze: 150 na minutę!

Ludwik Brzeski

## U KIEROWCÓW

W m. p. Kompanii Transportowej Baonu Sztabowego odbyło się zakończenie drugiego kursu kierowców.

Zdawano by się, że nie w tym wielkiego w naszym obecnym tempie motoryzacji. Wszystko dziś przecie pracuje, szkoli się w tym kierunku, bo od szeregowca do wysokich dowódców, od młodzika do sztabowego, poważnego chorążego T. cz. z I Szwad. Zand. ugania motocyklami, samochodami lub karierami — ostatnimi na wet niekiedy polują na dziki!

Od rana do nocy huczą w pustyni irackiej motory, motory i jeszcze raz motory.

Jednak do tematu.

Ukończyli kurs. Bolcio (już o nim kiedyś pisałem) wkładał w głowy przyszłemu narybkowi kierowców makabryczne nazwy części silników i różne inne historie. Instruktorzy wychodzili z siebie, robili co mogli. Rezultat — pokazna grupa chłopaków zasiadła za podkowiastym stołem w świetlicy, jako absolwenci II kursu.

Zrobili małą uroczystość.

Kawka, ciastka od cioci YMC-i, pomarańcze i nieodzwone w takich wypadkach „mowy”. Ostatnich mnóstwo, każdy przemawiał.

W przerwach przygrywała orkiestra czołwki armijnej i też przemawiała od bębniasty do trębaczka Ja przemawiał też.

Najlepiej jednak, najdłużej i „najtechniczniej” przemawiał strz. Śl. (z zawodu prawnik). Przez trzy kwadransy wyliczał nazwy trybów, smarowanie górne, a dolne, łożyska, pierścienie biegi, a wybiegi. Słuchając wysnułem wniosek, że nasz młody dca baonu „zawsze dobroliwy”. Wódz (w lutym zrobił tylko 28 odpraw i tyleż dał „opr”) przeczekał strzelca Śl. na kurs miał na uwadze nie tyle jednego kierowcę więcej, ile własnego adwokata w kompanii; szkoda tylko, że cały 12 Sąd Polowy nie kończył tego kursu, a zawsze w kompanii byłoby wszystko all right.

W tym potoku mów, jednej rzeczy nikt nie poruszył. Nie wiem, czy kursanci przez skromność, czy uważali, że fakt spełnienia wypłynął z dobrze pojętego obowiązku obywatelskiego, dość, że przemilczeli.

Przemilczeli o fakcie złożenia 24 din. 400 filszów na dzieci polskie w ZSRR. Zrobili to następnego dnia, bez rozgłosu. Zameldowali dcy, że mają taką sumę, że właściwie składali się na kolację, chcieli nawet kupić coś do picia. W końcu zaś zrobiło się im tyle pieniędzy strwońić.

Pieniądze wpłacone zostały do Biura Pomocy Rodz. Wojsk. i Jeńcom Woj. przez Dłwie Armii.

J. Tumiel

## U R A L

Mroczyć się futro tundry, rdzawej, jak tasmany... Nad nią pustki błękitnej bezmiar wniebowzięty, a w głębi — on — samotny, wieczysty, nieznanany Ural... Grzmot w żelazisty pomruk zastępnijęty...

Obce, srogie, śmiertelnie obojętne cudol! Jaszczur — grzbietem zębąтым wparty w nieboskłony, cielska ciężar na tundurę położywszy ruda, wschód i zachód rozgarnął w dwie przeciwne strony.

Fiolet wieków różowo lodem w nim się mieni chłodniej coraz, wyniosłej i coraz przejrzyściej... On — który się w tej wrogię, przekleję przestrzeni jeden — mojej bezzilnej oparł nie-rzawieści!

Beata Obertyńska

# CZY JEST WYBÓR?

W czasie tej wojny nie było w Polsce tzw. sporów orientacyjnych, które roznamietniały opinię w okresie pierwszej zawieruchy światowej od 1914 do 1918 r. Nie było kierunków politycznych, które chciałyby uzależnić politykę naszą od sąsiadów lub widzieć rozwiązanie zagadnień polskich przez podporządkowanie się Rosji lub Niemcom, by tą drogą zabezpieczyć się przed napastnikami. Nie wydaliśmy Quislingów. Nie było dotychczas wśród nas „germanofilów” czy „rusofilów”. Naród polski nie tylko stanął na gruncie integralności praw suwerennych i terytorialnych Polski, ale ponadto odrzucił dawne, z okresu niewoli przejęte sposoby myślenia politycznego, które nawoływały do czynności tylko na jednym odcinku, wschodnim lub zachodnim, z lekceważeniem innych frontów.

W społeczeństwie polskim zwyciężyło przekonanie, które w okresie pogańskim symbolizował Światowid — bożek o czterech obliczach. Kraj nasz znajduje się w tym położeniu geograficznym, że musi mieć oczy otwarte na wszystkie strony świata. Każda jednostronność w naszej polityce, każde zaniedbanie takiego lub innego odcinka mściło się na nas dotkliwie i stawało się powodem wielu niepowodzeń. Wiemy, ile szkody przynosiło uleganie poczuciu fałszywego bezpieczeństwa na jednej z naszych granic, lub świadome niedostrzeżenie istniejących trudności na innej. Z tych też doświadczeń wywodzi się jedna z naczelnych zasad naszej polityki: unikamy łączenia się z silniejszym przeciw słabszym, szukając raczej przyjaźni słabszych, by w razie potrzeby oprzeć się przemocy silniejszych.

W okresie przedwojennym posiadaliśmy traktaty nieagresji z Rosją i z Niemcami, nie wyłączałyśmy bowiem sąsiedzkiego współdziałania z żadnym z tych mocarstw. Staraliśmy się z nimi współżyć na zasadach lojalności i poszanowania wzajemnych praw oraz interesów. W roku 1939 oba te traktaty nie zostały jednak dochowane przez naszych kontrahentów.

Natomiast nigdy nie próbowaliśmy wygrać Rosji przeciw Niemcom lub Niemiec przeciw Rosji — jak to pośrednio insynuował dziennikarz amerykański Walter Lippman na łamach „Progrès Egyptien” z dn. 24 stycznia 1943 r. Nie godziliśmy się bowiem przed wojną ani na propozycje organizowania wyprawy na Rosję i zabierania Litwy lub Ukrainy za downiemaną cenę oddania Niemcom Pomorza i Śląska, ani też na plany innego rodzaju, które nęciły nas Szczecinem i Królewcem wzamian za odstąpienie Wilna i Lwowa — Rosji. Nie chcieliśmy stać się w takiej czy innej postaci lennikiem jednego z naszych sąsiadów. Z takimi zasadami wstąpiliśmy do wojny dotychczas przy zasadach tych twamy.

Nie można jednak ukrywać, że czynione są wysiłki, by skłonić Polskę do porzucenia tych prawideł i do zejścia na śliską ścieżkę kompromisów i oportunistów. Ostatnio w głównym artykule „Times'a”, od którego odzgała się zresztą ambasada brytyjska w Waszyngtonie, wystąpiono również pod naszym adresem z taką mniej więcej argumentacją: „Sami po wojnie nie utrzymacie się, musi-

cie więc wybrać opiekę Niemiec lub Rosji; wobec odrzucenia przez was opieki Niemiec we wrześniu 1939 r. pozostaje jako gwarantująca protektorka Rosja”.

Język ten nie jest nam obcy. Słyszeli go nasi ojcowie w okresie rozbiorów z wieku XVIII, kiedy zarówno Prusy Fryderyka Wielkiego, jak i Rosja Katarzyny II narzucały się nam z „protekcją” i „gwarancjami”, co tak fatalnie odbiło się na naszych dziejach. Dziś po tamtych doświadczeniach wiemy dobrze, co znaczą jednostronne „protekcje” oraz „gwarancje” i dlatego nikt nie zdoła wmówić w nas ich rzekomej bezinteresowności.

Lecz te same głosy odezwały się w przededniu wojny 1939 r. Polska mogła być wówczas bądź uniknąć kataklizmu wojennego uzależniając się od Niemiec i przyjmując ich warunki oraz ich gwarancje, bądź też uzyskać pomoc Rosji za cenę pozyczenia jej daleko idących ustępstw na ziemiach wschodnich, choćby w postaci wydania jej baz wojskowych. Polska obie te sugestie odrzuciła, przyjmując wszystkie następstwa swego kroku. I choć ówczesna jej decyzja ściągana na nasz kraj jak dotychczas — obok chwały i uratowanego honoru — same nieszczęścia, nie było w uciemiężonym narodzie polskim żadnego słowa buntu przeciwko zasadniczemu stanowisku wówczas zajętemu, które nadal jest przez kraj cały z całą świadomością podtrzymywane.

Nasza ówczesna postawa nie była obca nikomu. Wiedzieli o niej w szczególności nasi sojusznicy. Znali dobrze propozycje niemieckie pod adresem Polski. A prowadząc długie rokowania z Moskwą, by pozyskać jej pomoc przeciwko Hitlerowi w przededniu wojny, byli poinformowani również o planach sowieckich w stosunku do Polski, państw bałtyckich itd. Pertraktacje ówczesne Anglii i Francji z Rosją uległy wszakże rozbiuciu. Polityka angielska uważała bowiem również, że cena, jakiej żądała Rosja za ewentualność swego wystąpienia przeciw Niemcom, była zbyt wygórowana i nazbyt psuła linię ideową sprzymierzonych. Z tą chwilą jednak stało się jasne, że na wschodzie Europy Polska będzie biła się sama oraz, że na pomoc Rosji, która dochodziła wówczas do porozumienia z Niemcami, liczyć nie może. A jednak Wielka Brytania i w tych warunkach dochowała wówczas danego Polsce słowa.

Nikt nam bowiem wtedy nie proponował wyboru między Niemcami i Rosją, nikt nas nie nakłaniał do przyjęcia takich lub innych rekwizytów od naszych sąsiadów, nikt nas nie zwał do kompromisów i rezygnacji w takim lub innym kierunku. Przeciwnie, cały cywilizowany świat, cała prasa angielska i amerykańska zwały nas do wytrwania, do niezalamywania się, do bezwzględnej obrony swych pełnych praw suwerennych i terytorialnych, a w szczególności do opowiedzenia się za kierunkiem demokratycznym oraz chrześcijańskim w polityce światowej. Odważna i twarda postawa narodu polskiego budziła wówczas uznanie, Polska stawała się „natchnieniem świata”.

Dziś, niestety, odezwały się głosy inne. Dziś różni mniej lub więcej

efektywni i mniej lub więcej odpowiedzialni publicyści namawiają nas byśmy popłynęli z falą, uzależnili się od jednego z naszych sąsiadów, a nawet wyrzekli się części naszych ziem lub części naszej suwerenności godząc się jednocześnie, by ludność połowy Polski zrezygnowała ze swych ideałów i moralnych przekonań. Naród, który nie wydał Quislinga, kuszony jest przez pewne koła, by wszedł na drogę, wiodącą prosto na tory quislingowskie. Bo czym jest Quisling, jak nie wyrazem uzależnienia się od faktycznego czy potencjonalnego okupanta, godzenia się z losem, choćby w ukrytej intencji przetrwania złych czasów. Pod wpływem propagandy sprzymierzonych narody europejskie nauczyły się w dziele w Quislingu symbol porzucenia polityki zasad dla oportunistów. Czy ci, którzy nakłaniają niektóre narody europejskie do wejścia na tę drogę są świadomi jednak wszystkich następstw swych kuszeń? Czy rozumieją, że w razie zerwania z zasadami wszelkie kompromisy stawałyby się możliwe? Kto bowiem zalecałby politykę quislingowską w jednym kierunku, traciłby moralny tytuł do pojęcia ewentualnych zapędów quislingowskich w kierunku przeciwnym.

Z tego na pewno zdają sobie sprawę ci sojusznicy, którzy przystępując do wojny wysunęli jasno i wyraźnie określone zasady ideowe. Sojusznicy ci w roku 1939 zwrócili się do świata z żądaniem, by opowiedział się za ich koncepcją organizacji ludzkości, za chrześcijańskimi i demokratycznymi zasadami życia zbiorowego. W imię tych zasad miliony ludzi stanęły do boju. Odwrócenie się od tych ideałów wystawiłoby obóz sprzymierzonych na niebezpieczeństwo pomieszczenia języków i zamęt ideowy, gorszy od największej klęski na polu bitwy.

Chcąc widocznie tego uniknąć wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Wallace uznał za wskazane uwypuklić ostatnio trzy panujące obecnie w świecie kierunki myśli politycznej: totalitarny, reprezentowany przez „os”, marksistowski, którego ogniskiem jest Moskwa oraz chrześcijański i demokratyczny, znajdujący oparcie nie tylko w państwach chrześcijańskich, ale również w narodach muzułmańskich, w Chinach itd. Wiceprezydent Wallace opowiedział się stanowczo za tym trzecim kierunkiem wyrażając zresztą nadzieję, że zdoła on ułożyć warunki współżycia ze światem marksistowskim.

Polska oczywiście opowiadać się już nie potrzebuje. Dokonała bowiem wyraźnego wyboru w r. 1939 ponosząc największe ze wszystkich sprzymierzonych ofiary. Odrzuciliśmy wówczas bezwzględnie i pierwiej niż jeden z obecnych wrogów Hitlera koncepcję „osiową”, uznaliśmy jednak również myśl marksistowską za całkowicie nam obcą. Nie chcemy bynajmniej kwestionować, że marksizm wprzęgnięty w rydwan polityki Rosji oddał jej niemałe usługi ułatwiając m. in. forsowne uprzemysłowienie kraju oraz zduszenie odrośnkowych dążeń narodowościowych. Byliśmy też dalecy od odrzucania myśli współdziałania z Rosją na warunkach wzajemnej lojalności i w sprawach konkretnych, jak np. w czasie prowadzenia wojny ze wspólnym wrogiem. Nie dążyliśmy i nie dążymy do odcinania się od Rosji

chińskim murem, a nie nasza jest wina, że granica polsko - sowiecka na przestrzeni lat 1921 — 1939 była pod względem gospodarczym martwa.

Ale uwzględniając to wszystko, nikt chyba nigdy nie miał wątpliwości, że uważaliśmy się jako ludność Rzeczypospolitej Polskiej w granicach z 1939 r. za związanych integralnie i wyłącznie ze światem zachodnim, z kulturą chrześcijańską, z tymi wartościami cywilizacyjnymi, które opierają się na uznaniu osobowości ludzkiej. Komunizm nigdy nie miał u nas powodzenia. Doktrynę bolszewicką odrzucały w Polsce i odrzucają wszystkie warstwy i wszystkie narodowości w swej przeważającej masie. Nie ma pod tym względem różnic między wschodem i zachodem Polski. Nikt też w szczególności nie będzie pomawiał ludności ukraińskiej w Polsce z metropolitą Szeptyckim na czele o skłonności promarksistowskie i antychrześcijańskie. Gdyby Ukraińcy mieli możliwość integralnego opowiedzenia się, która z wysuniętych przez wiceprezydenta Wallace'a koncepcji urządzenia świata im własnie odpowiada, wybraliby także zasady chrześcijańskie.

Nie byliśmy nigdy zwolennikami urządzania wypraw religijnych czy krzyżowych przeciw Rosji, ale uważalibyśmy również za grzech polityczny nie do darowania, gdyby w państwach sprzymierzonych, wysuwających hasła chrześcijańskie, zwyciężyła dążność nakłaniania innych narodów do całkowitego lub częściowego wyrzekania się swej wiary oraz przekonań i przyjmowania obcych im doktryn. Nie można namawiać ludzi, którzy z takim bohaterstwem oparli się neopoganizmowi hitlerowskiemu, by godzili się następnie na ateizm marksistowski. Te sprawy zasadnicze muszą być wyraźnie postawione wobec istnienia takich głosów jak te, które ukazały się w „Times'ie”, głosów tak skwapliwie i tak chętnie podchwyczonych przez propagandę niemiecką, szukającą możności najmniejszych śladów i dowodów mogących świadczyć o rzekomych rozdźwiękach wśród sprzymierzonych.

Arp.

## NIEMCY UCIEKAJĄ PRZED BOMBAMI DO POLSKI

Z Polski nadchodzą wiadomości o masowym napływie kobiet i dzieci niemieckich ze zniszczonych napolami miast zachodnich Niemiec. Najwięcej z nich osiedla się w Krakowie. Z wielu mieszkań, domów i ulic wysiedla się miejscowa ludność dla zrobienia miejsca uciekinierom. Ponadto ogłoszono odezwę wzywającą Polaków do „dobrowolnego wynajmu” swych lokali ewakuowanym. Ogłoszono przy tym szczegółowy cennik miesięcznych opłat za pokoje w granicach od 80 do 30 złotych. Dodać trzeba, że chodzi o pokoje umeblowane, przy czym polska gospodyni obowiązuje dostarczenie śniadania po cenie kosztu. Za ogrzewanie wolno pobierać osobny dodatek — 18 do 30 złotych miesięcznie — przy cenie węgla dochodzącej do 3.000 złotych za tonę.

## POSZUKIWANIA

179. Ignacy Krzywiński — żony Teofili z Augustowa. Ostatnio była w więzieniu w Mińsku.
180. Zieliński Czesław z Łomży (P. F. P. 740) — kogoś z rodziny oraz Lucyny Dąbrowskiej z Łap.
181. Tumilowicz Bolestaw (P. F. P. 104) — matki Tumilowiczowej Eweliny, żony Janiny oraz siostry Dąbrowskiej Aleksandry.
182. Klausner Brunon poszukuje rodziny.
183. Wojtyła Alojzy (P. F. P. 525) — rodziny Franciszka Wojtyły, wywiezionych do Krasnojarskiego Kraju oraz por. Edwarda Tomaszewskiego, przebywającego ostatnio w Teheranie.
184. Włodkowska Maria (P. F. P. 628) — męża Adolfa ppor. rezerwy, więzionego w Grodnie, wywiezionego następnie do Kotlasu i Kołomy. Ostatni adres: Simeran Wierchnij, Szpital.
185. Nowowiejski Wacław (P. F. P. 569) — Ireny Kozłowskiej (z domu Wiśtówny).
186. Kotowicz Jan z Wilejki (P. F. P. 46) — rodziny i znajomych.
187. Mikucki Aleksander z Warszawy (P. F. P. 10) — krewnych i znajomych.
188. Chyliński Piotr — Wandy Barbary i Anieli, wywakuowanych w marcu 1942 do Iranu.
189. Józwiak Konstanty (P. F. P. 207) — ppor. Sielkiewicza Antoniego i ppor. Kuleszy Antoniego.
190. Bober Irena Wanda (P. F. P. 551) — Adama, Marii i Izidora Boberów, wywiezionych ze Lwowa do Kazachstanu. Ostatnio przebywali w Urdżarze, semipalatyńskiej obl.
191. Bychowicz J., P. C. K. Jerolim — ppor. art. Bychowca Wiktora, więzionego do wiosny 1941 r. w Starej Wilejce.
192. Pietrzak Franciszek (P. F. P. 120) — ppor. Pabisa Jana
192. Rutkowski Bronisław (P. F. P. 120) — Rutkowskiego Jana, naczelnika poczty, aresztowanego w 1940 r. w Brześciu n.B.
193. Grodowski Ignacy (P. F. P. 104) — żony Józefy i syna Jana (lat 11)
196. Bożko Joachim (P. F. P. 104) — żony Marii, wywiezionej w 1940 r. do ZSRR.
197. Mazur Franciszek (P. F. P. 104) — żony Marceliny, ojca Franciszka, matki Anny.
198. Dąbrowska Zofia (P. F. P. 222) — Kozłowskiego Czesława ze Lwowa — (ostatnio C. W. Art.).
199. Lagownik Julian (P. F. P. 313) — siostry Janiny, ostatnio przebywała w Witebsku.
199. Krawczyzna Jan (P. F. P. 313) — brata Sergieja, lat 30 oraz Zajacowej Janiny z Wolicy.
199. Romanowski Jan (P. F. P. 313) — brata Mikołaja lat 24.
199. Miśiewicz Eugeniusz (P. F. P. 313) — ojca Andrzeja, matki Marii i żony Eleonory.
200. Horba Albin (P. F. P. 29) — Aleksandra Arcimowicza z Fast, krewnych i znajomych.
201. Wiatrowsy Stanisław (P. F. P. 517) — Wiatrowskiej Marii, Bronisławy, Karola, Zbigniewa z Tarnopola Wywiezieni do ZSRR, pawłodarska obl.
202. Rejmański Mieczysław (P. F. P. 339) — żony Anny, matki Antoniny, dzieci Krzycha i Basienki oraz krewnych i znajomych z Leska, Lwowa, Podhajec, Bóbrki k. Lwowa.
- Bauer Emilia (P. F. P. 58) z Nadwornej córka Karola, poszukuje stryja Leona (urzędnika sądowego w Drohobycz), aresztowanego i wywiezionego do Rosji.

## Po 90 minutach ciężkiej walki

## Armia Brytyjska — Armia Polska 4:2

BRAMKI STRZELILI: W 1 MIN. SQUIRES, W 34 MIN. SZEWCZYK Z KARNEGO, W 41 MIN. HODUR, PO PRZERWIE W 13 MIN. MOSS, W 26 FORREST, W 41 HOWE Z KARNEGO. SĘDZIOWAŁ ANGLIK COOK.

Tak wygląda historia rewanżowych zawodów piłkarskich z Armią Brytyjską — spotkania, w którym nasza reprezentacyjna drużyna musiała dać z siebie wszystko i walczyć do ostatniego gwizdka, bo tego wymagał poziom gry przeciwnika.

Drużyna brytyjska, dobrana bardzo starannie, złożona z 10 zawodowych piłkarzy i tylko jednego amatora, wniósła na boisko football wysokiej klasy, solidną, przemyślaną robotę, pozbawioną jakiegokolwiek improwizacji, opartą na najlepszych wzorach piłkarskich. Każdy z graczy rozporządzał bogatym repertuarem zagrań, całkowitym opanowaniem piłki, ostrym strzałem, dobrą grą głową, a cały zespół stanowił całość, której wszystkie części pasowały do siebie i znakomicie się rozumiały. Nie był to jeszcze football angielski w najlepszym wydaniu, ale na boisko w Bagdadzie wysłała tym razem jedenastka o pewnej klasie i kulturze gry.

Zwycięstwo Anglików i ich wyższość nad nami nie ulegała żadnej wątpliwości, tak jak nie ulegało wątpliwości nasze zwycięstwo 4:0 w poprzednim meczu. Nie umiemy tego faktu okoliczność, że silna wichura była handicapem dla Anglików, bo wzmogła się akurat wtedy, gdy oni mieli wiatr za sobą w drugiej połowie gry, podczas gdy w pierwszej, gdy my graliśmy z wiatrem, był on dla nas sprzymierzeńcem dość nikłym.

Nie zgadzamy się z twierdzeniem, jakoby sędzia wpłynął na wynik meczu. Rzut karny, który podkopywał on za wątpliwe przewinięcie w ostatniej niemal minucie gry, miał miejsce w chwili, gdy zwycięstwo Anglików nie ulegało już wątpliwości, był on zresztą niejako rewanżem za podkopywany za podobne przewinięcie rzut karny dla nas.

Rzecz inna, że z oceną ostrej gry przez Cooka nie możemy się zgodzić.

Nie znajdujemy również podstawy dla ujemnej oceny gry naszego zespołu. To, że się jest słabszym i że przegrać się musi, nie przynosi w sporcie żadnej ujemy. A tak właśnie było w poniedziałek.

Przeigrano z drużyną lepszą pod ciężkimi walce, prowadzonej od samego końca. Nie zabrakło nam kondycji fizycznej ani ambicji, zabrakło pewnych umiejętności, na które trzeba pracować dłużej i które zawodowy piłkarz zawsze wyhoduje lepiej.

W walce z doskonałym atakiem przeciwnika potrafiono dobrze paraliżować jego poczynania, naszemu napadowi natomiast brakło wykończenia i powiązania akcji, dobre przyziemne zagrania w polu nie kończyły się strzałem. Bramkarz angielski nawet w chwilach naszej przewagi był minimalnie zatrudniony, nie było właściwie ani jednego groźnego strzału do jego bramki. I to była największa strona naszej drużyny, nad usunięciem tych braków trzeba pracować, w myśl starej zasady piłkarskiej, że „najlepszą obroną jest szybkostrzelny

napad”. A Anglicy strzelali z każdej pozycji. Gerula miał pełne ręce roboty. Odrobił ją solidnie, wznosząc się w pewnych chwilach do poziomu wielkiej klasy, choć nie był bez winy przy utracie pierwszej i trzeciej bramki. Obok niego na specjalne wyróżnienie zasługują Wiśniewski, który doskonale wywiązał się ze swego zadania, Hoening, Habowski i pracowity Kidacki. Reszta zespołu osiągnęła swą normalną formę i raz jeszcze potwierdziła, że stanowi równą jedenastkę bez specjalnych wziętości, ale też i bez możliwości sprawienia niespodzianki w sensie ujemnym.

Mecz miał przebieg interesujący. Anglicy przypuścili od razu gwałtowny atak, zakończony piękną bramką prawoskrzydłowego już w 1 min gry, po wykorzystaniu błędu tyłów polskich. Jedenastka polska przez pewien okres czasu nie może uzyskać równowagi, wszelkie akcje rwą się, Anglicy mają wyraźną przewagę. Gerula kilka razy broni w pięknym stylu. W ostatniej chwili wybija piłkę końcem palców na róg i piątkuje po chwili w niebezpiecznej sytuacji po kornerze.

Dopiero w ostatnich piętnastu minutach pierwszej połowy Polacy zaczynają być niebezpieczni. Habowski inicjuje kilka biegów, po jednym z jego dośrodkowań Kidacki strzela głową obok bramki. W 34 min. Szevczyk zamienia jedenastkę nieuchronnym płaskim strzałem w róg w wyrównującą bramkę. Znowu kilka udanych zagrań Habowskiego i w 41 min. prowadzimy po strzale Hodura 2:1.

Po przerwie Anglicy grają z wiatrem i usadawiają się aż do końca na naszej połowie. Cała drużyna broni się niezmordowanie. Gerula znów dwa razy popisuje się piękną robinsonadą. Obrona pilnuje pieczołowicie napastników angielskich, Wiśniewski pracuje jak maszyna. Wyrównanie pada w 13 min. Polacy utrzymują w dalszym ciągu otwartą grę, akcje całości są dość powiązane i składane, napad nie może jednak przejąć inicjatywy i kiedy w 27 min. Anglicy dalekim strzałem dość niespodziewanie uzyskują prowadzenie, wynik meczu jest przesądzony. Czwarta bramka strzelona z karnego jest już tylko formalnością.

R. M.

## WYNIK KONKURSU „ORŁA BIAŁEGO”

Powołany rozkazem szefa Wydziału Informacji i Oświaty Dłwa Armii Polskiej na Wschodzie sąd konkursowy w składzie: Zdzisław Bau, Michał Ciolek, Janusz Wedow i Tadeusz Wittlin, po rozpatrzeniu materiału nadesłanego na ogłoszony w tyg. „Orzeł Biały” nr 3 z 1943 r. konkurs na najlepszą korespondencję z oddziału i na najlepszy wiersz, postanowił:

1. Uwzględniając okoliczności usprawiedliwiająca drobne usterki formalne przyjąć jako należycie zgłoszone na konkurs:

14 utworów prozą i 50 wierszy.  
2. Z uwagi na trudność nabycia w stosownym czasie książek, przewidzianych jako nagrody, wyznaczyć nagrody pieniężne w jednakowej wysokości za prozę i za wiersze:

I nagroda — 6 dinarów ir.  
II „ — 4 „ „  
III „ — 2 „ „  
3. W dziale prozy nie przyznawać nikomu I ani III nagrody, natomiast przyznać dwie równorzędne II nagrody za prace:

„Służba transportowa” — godło „Aleksandria”  
„Kobieta — a natchnieniem obóz” — godło „Honny soit qui mal y pense”.

Po otwarciu kopert okazało się, że autorem pierwszej z wymienionych prac jest p. Bogdan Zenon Znowski, drugiej — p. Henryk Ritterman.

4. W dziale wierszy przyznać: I nagrodę za wiersz „Namiot z Kanady” i „Port Pahlewi” — godło „Tur”.

II nagrodę za wiersz „Panis bene merentium” — godło kwiatek (rys.)

III nagrodę za wiersz barutyno — godło „Pomian” oraz w tytulo drugą III nagrodę za wiersz „Prelude” — godło „Milica” pod warunkiem nadesłania przed końcem kwietnia br. do redakcji „Orła” nazwiska i adresu autora.

Po otwarciu kopert okazało się, że I nagrodę otrzymuje p. Artur Międzyrzeczki, II — p. Kazimierz Sawicz, III — p. Jan Olechowski.

3. Ogłosić drukiem w tyg. „Orzeł Biały” tylko prace nagrodzone.

Uchwały sądu konkursowego zapadły jednogłośnie i zostały zatwierdzone przez szefa Wydziału Informacji i Oświaty Dłwa Armii Polskiej na Wschodzie.

## Odpowiedzi Redakcji

H. wicz. Tragedii rodzin naszych w ZSRR winni jesteśmy nadal nieustającą czujność. Al. rmem z naszej strony w tej sprawie był artykuł noworoczny, od tego czasu położenie raczej się pogorszyło. Pański jednak artykuł nie posuwa tej sprawy naprzód, a początek jest chyba nieporozumieniem: nie mamy tu do czynienia, niestety, z „pomyłką”, ale ze świadomą polityką.

Dr Fr. Z. s. ki. Dziękujemy za artykuł. Zawiera wiele ciekawych wiadomości, wydaje nam się jednak zbyt encyklopedyczny dla publiczności.

„Pestka J. L. I.” Dziękujemy, ale obawiamy się, że takie ujęcie wywołałoby reakcje niezamierzone przez Autorkę.

Kpr. K. K. P. Dziękujemy za wiersz, z którego jednak nie skorzystamy.

K. an. Jan D. cz. Dziękujemy za dalszą pamięć i przykro nam, że znowu sprawiamy Panu rozczarowanie, ale nadesłane dwa artykuły nam nie odpowiadają. Wydaje nam się, że morał podany zbyt bezpośrednio zwykłe chyba celu.

Stanisław Sz. Dziękujemy za przesłane wiersze, z których jednak nie skorzystamy.

Por. J. T. Dziękujemy za reportaż — zamierzamy wydrukować.

Plut. Antoni M. L. Dziękujemy za wiersz, dość ciekawy, ale zbyt sztuczny, a są i usterki rytmu.

S. cz. Zbigniew K. s. ki. Dziękujemy za wiersz „Niesmiertelna”, którego wszakże nie zamieścimy.  
Mgr Wl. Z. cz. Przechodzamy za zwołką, której winien brak miejsca.  
P. chor. Tadeusz Sz. Dziękujemy za interesujący artykuł — skorzystamy.





## WALKI W TUNISIE

Wydaje się, że walki w Tunisie nie są jeszcze bliskie zakończenia. Wprawdzie VIII armia brytyjska po zdobyciu linii Mareth posunęła się dość daleko na północ zajmując Gabes, jednak Rommel zdołał wyprowadzić swe wojska z grożącego mu okrążenia i połączywszy się z armią Armia zajął silne pozycje między Gabes a Sfax.

W rejonie Gafsy wojska amerykańskie pozostające pod dowództwem gen. Patton wyrównały nawiązkę straty poniesione w porażce pod Kasserine i nacierają w kierunku zatoki Gabes pragnąc nawiązać kontakt z gen. Montgomeryem.

W północnym Tunisie Francuzi przybliżyli się na odległość 70 km do Bizerty zajmując Cap Serrat.

Tym niemniej von Arnim i Rommel dysponują w dalszym ciągu znacznymi siłami i, jak piszą „Times” i „Daily Express”, bitwa o Tunis nie została jeszcze wygrana.

Zwycięstwo na linii Mareth osiągnął gen. Montgomery wskutek zastosowania manewru oskrzydającego. Przebiwszy się przez naprawdę silne umocnienia w rejonie El Hamma wojska brytyjskie do tego stopnia zagroziły tyłom linii Mareth, że Rommel widział się zmuszony rozpocząć odwrot.

Było to już czwarte zwycięstwo gen. Montgomery'ego uzyskane przez oskrzydlenie wroga. Tak pod El Alamein, jak pod El Agheila i Wadi Zemzem VIII armia stosowała z powodzeniem tę samą taktykę.

## FRONT

## WSCHODNIO-EUROPEJSKI

Ofensywę rosyjską należy uważać za zakończoną.

Komunikat sowiecki podaje, że w czasie blisko pięciomiesięcznych sowieckich działań ofensywnych straty niemieckie wyniosły 850.000 zabitych oraz 350.000 jeńców. Poza tym wojska sowieckie odzyskały około 480.000 km kw. terytorium. W niektórych punktach wojska sowieckie posunęły się przeszło 600 km naprzód.

W tej chwili działania na froncie rosyjsko-niemieckim utraciły na intensywności. Bardziej zacięte boje toczą się jedynie na Kubaniu, gdzie dowództwo sowieckie pragnie za wszelką cenę zlikwidować tamtejszy przyczółek niemiecki rozumiejąc dobrze niebezpieczeństwo, jakie on przedstawia na wypadek wznowienia przez Niemców działań ofensywnych. Niemcy ze swej strony czynią wszystko, by utrzymać tę pozycję. Ufortyfikowali silnie dolinę dolnego biegu Kubania wykorzystując liczne przesady naturalne. Poza tym odwilż i śniegi zniszczyły drogi, co również utrudnia Rosjanom posuwanie się naprzód.

Drugim ogniskiem walk jest rejon rzeki w górnym biegu Donca. Tam wojska Niemcy usiłują bezskutecznie zlikwidować sowiecki przyczółek na prawym brzegu tej rzeki.

Wiele się mówi na temat, czy i kiedy Niemcy przejdą znów do ofensywy w Rosji. Należy przypuszczać, że stanie się to dość szybko. Wprawdzie w roku ubiegłym wielka

ofensywa niemiecka rozpoczęła się dopiero w czerwcu, lecz nie należy zapominać, że uprzednio gen. Manstein musiał likwidować Sewastopol i Kercz, co wymagało wielkich ofiar i dużych wysiłków.

Wojska niemieckie poniosły w zimie niewątpliwie ogromne straty, chociaż nie można być pewnym, czy wyżej podane, pochodzące ze źródeł sowieckich cyfry, odpowiadają rzeczywistości. Dowództwo niemieckie dysponuje jeszcze w każdym razie poważnymi, nieużytymi siłami, na co wskazuje choćby fakt, że po pięciu miesiącach odwrotu Niemcy potrafili przejść do przeciwnatarcia, które im przyniosło niewątpliwie sukcesy.

Ponadto można być pewnym, że przeprowadzana obecnie totalna mobilizacja powiększy niemieckie siły wojskowe o ostatnie ale bezsprzecznie bardzo poważne rezerwy. Hitler nie może pozwolić sobie na trzecią kampanię zimową w Rosji. Tradycje dwóch poprzednich stanowią tak groźne memento, że naród i armia z trudem wytrzymałyby jeszcze jedną taką próbę. Dlatego też wkrótce należy oczekiwać na wschodzie poważnych wydarzeń.

## NIEMCY POD GRADEM BOMB

Tymczasem lotnictwo sprzymierzonych nie próżnuje. 25-lecie RAFu dało okazję do wzmożenia nalotów na Niemcy i kraje okupowane. Trudno wymienić wszystkie miejscowości, które były przedmiotem bombardowania. Essen, Kilonia, Norymberga i Berlin w Niemczech, baza lotzdzi podwodnych w St. Nazaire i zakłady Renault w Billancourt we Francji, Neapol we Włoszech. W każdym z tych nalotów brało udział po kilkadziesiąt bombowców. Ciężar zrzuconych bomb wahał się między 500 a 1000 ton.

Naloty nie tylko niszczą siłę materialną przeciwnika, nie tylko paraliżują jego życie gospodarcze, ale wpływają mocno na osłabienie morale ludności. Robotnicy zakładów przemysłowych, którzy niemal każdej nocy uciekać muszą z łóżek do schronów, pracują z natury rzeczy znacznie gorzej. Poczucie niepewności i niemożności zaradzenia niebezpieczeństwu, które nadciągnąć może w każdej chwili, działa deprymująco.

## OBAWY „OSI” ROSNĄ

Stan niepewności w państwach „osi” wzrasta. W Niemczech odkryty został spiszek antyhitlerowski. Podobno należało doń 100 wyższych urzędników ministerialnych. Połowa z nich została stracona. Wśród skazanych na śmierć był b. radca ambasady niemieckiej w Warszawie Kurt von Schelicha.

W Rzymie komentator polityczny włoskiego radia Marek Appellius powiedział: „wojna zbliża się coraz bardziej do naszych granic i stoimy przed możliwością uderzenia wszystkich sił Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych na Włochy”. Włochy są obecnie krajem całkowicie okupowanym i nie ma placówki mającej jakiegoś znaczenia dla działań wojennych, która by nie była pod kontrolą niemiecką.

Przed możliwością inwazji ostrzegali także bułgarski minister wojny Wasiliew mówiąc, że należy się liczyć z prawdopodobieństwem uderzenia na Bułgarię zarówno od strony morza Egejskiego, jak morza Czarnego.

Niemcy gorączkowo montują front obronny na południu Europy. Swoje wojska muszą trzymać na froncie sowieckim i dla obrony północnych i zachodnich wybrzeży Europy. Na waleczność i zapal bojowy Włochów nie bardzo mogą liczyć. Rumuni ponieśli na wschodzie takie straty, że nie chcą słyszeć o nowych kontyngentach. Bułganów mają więc bronić Bułgarzy, Węgrzy i Chorwaci pod naczelnym dowództwem marszałka Rommla. Związek z tymi sprawami miała ostatnia wizyta króla Borysa u Hitlera.

Bulgaria zajmuje dość osobliwe stanowisko wobec „osi”. Wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii, które są, a raczej były daleko, a manifestuje sympatie dla Rosji, która jest pod bokiem. W ten sposób „prowadząc wojnę” Bulgaria nie straciła ani jednego człowieka z wyjątkiem minimalnych ofiar, które poniosła uczestnicząc w napadzie na Jugosławię i Grecję. Teraz, gdy zachodzi możliwość, że Anglii i Amerykanie złożą wizytę na Bałkanach, Hitler żąda od „sojuszników” bułgarskich czynnego udziału w walce.

## CO BĘDZIE PO WOJNIE?

Im bardziej zwycięski koniec wojny, choć jeszcze odległy, zaczyna nabierać realnych kształtów, tym bardziej aktualna staje się sprawa powojennego porządku świata.

Minister Eden mówiąc w Ameryce o konieczności utrzymania jedności wśród sprzymierzonych po wojnie zaznaczył, że żaden naród nie może zamknąć się w swych granicach w nadziei, że będzie bezpieczny. Nie może być dobrobytu w jednym kraju, podczas gdy u sąsiada panować będzie nędza; nie może być pokoju w jednej części świata, jeżeli w drugiej wybuchnie wojna.

Sumner Welles, amerykański podsekretarz stanu, oświadczył, że bez udziału Ameryki w organizacji pokoju nie da się osiągnąć zabezpieczenia świata przed powtórzeniem się wojny.

Inny wybitny amerykański mąż stanu, b. ambasador William Bullitt, omawiając ostatnie przemówienie Churchilla, powiedział: „Nadszedł już czas, by zbadać nie tylko ideę Rady Europy ale także i ideę Federacji Europejskiej. Świat potrzebuje silnej, scalonej, demokratycznej Europy. Luźnie powiązane z sobą liczne słabości nie stanowią razem jednej siły”.

Idea federacji jest także myślą przewodnią artykułu gen. Wł. Sikorskiego, ogłoszonego w amerykańskim czasopiśmie „Colliers”, którego zasadnicze ustępy podaliśmy w poprzednim numerze.

Świat, który przeszedł przez wojnę totalną, będzie dojrzały do totalnego pokoju. Musimy zorganizować mniejsze narody Europy w federację zdol-

ne do samoobrony — pisze gen. Sikorski.

Zasadniczymi warunkami totalnego pokoju będą, według gen. Sikorskiego, zupełna demilitaryzacja Niemiec oraz przeobrażenie psychiki niemieckiej, która jest w tej chwili zbrodniczą.

Autor zaznacza, że ideałem ustrojowym dla starego kontynentu byłyby Stany Zjednoczone Europy. Związek taki nie jest jednak na razie osiągalny. Należy więc dążyć do federacji regionalnych.

Rząd polski — pisze dalej gen. Sikorski — wysuwa koncepcję federacji Europy Środkowej. Należałoby do niej Polska i Czechosłowacja, które zawarły już odnośne porozumienia oraz Jugosławia i Grecja, a potem inne uwolnione narody.

Dalej gen. Sikorski nakreślił program ustrojowy tej federacji zaznaczając, że każdy z narodów zachowa swą odrębność i swój rząd, a poza tym będzie wspólna rada ministrów, której kompetencje będą podlegały sprawy ogólne federacji, a więc przede wszystkim polityka zagraniczna, wojsko i polityka gospodarcza.

Wspominając stosunki polsko-rosyjskie gen. Sikorski zaznaczył, że Polska i Rosja układem z grudnia 1914 r. zobowiązały się do odroczenia wszystkich innych zagadnień, dla skoncentrowania wysiłków dla pokonania Niemców.

Koncepcja federacji Europy Środkowej, jak ją przedstawił gen. Sikorski zawiera szczegóły dotychczas nieznane. Ze streszczenia artykułu, którym rozporządzamy, nie jest jasne czy jest to tylko rozważanie wstępne, czy też może ono być uważane za nieoficjalną propozycję rządu polskiego. Streszczenie nie wyjaśnia również sposobu przezwyciężenia trudności geograficznej, wynikającej z faktu, że tereny Polski i Czechosłowacji oddzielone są od Jugosławii i Grecji terenami Austrii i Węgier.

## ROKOWANIA AMERYKAŃSKO-SOWIECKIE

W Waszyngtonie zapowiedziano rozpoczęcie narad amerykańsko-sowieckich, w których poruszane będą sprawy związane z powojenną przyszłością świata. Wiadomym jest, że w rozmowach tych poważną rolę odgrywać będą zagadnienia polsko-sowieckie.

Mamy prawo sądzić, że Stany Zjednoczone, których prezydent nazwał Polskę „natchnieniem walczącego świata”, wykażą w czasie tych rozmów zrozumienie dla naszego stanowiska. Z. R.

## Z ŻAŁOBNEJ KARTY

W Rzymie zmarł śp. Aleksander Meyszłowicz, b. minister sprawiedliwości w gabinecie Marszałka Piłsudskiego. Zmarły był przed wojną członkiem rady państwa w Petersburgu i prezesem Wileńskiego Banku Ziemskiego. W okresie przejściowym na Wileńszczyźnie pełnił obowiązki prezesa Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej. Brał żywy udział w życiu społecznym i politycznym należąc do obozu zachowawczego. Pogrzeb odbył się w Rzymie.

## EPIZOD PUSTYNNY

## JEDNA PRZYGODA WIĘCEJ

Mrok zapadał. Burza przybierała na sile z każdą chwilą. Smugi pyłu wibrowały przed oczami — krajobraz falował jak wzburzone morze. Rdzawo-brudny tuman przysłaniał niebo. Wszystko wokół stało się piaskiem — jakby zalew pustyni miał objąć cały świat.

Podchorąży Popiel zatrzymał motocykl, przetarł okulary i wydobyl busole. „Jadę dobrze” — mruknął do siebie — „nie rozumiem dlaczego nie widać jeszcze lotniska?”

Zapusczył motor i ostrożnie ruszył naprzód. Trzeba było uważnie obserwować trasę, bominy trafiały się tu dość często. „Brakuje tylko do kompletu, aby mi nawaliła maszyna!” — zauważył w duchu. Perspektywa spędzenia nocy w taką pogodę w pustyni nie była istotnie zachęcająca.

Po 15 minutach jazdy, z prawej strony zarysowała się w nieznaczej odległości sylweta niemieckiego czołgu. Podchorąży odczekał z ulgą. Jest na właściwym kursie. Od czołgu w lewo lotnisko, z lotniska wokół niemieckiego cmentarza i jest u siebie w domu. Objechał rozbitą czołg i po chwili poczuł, że motocykl idzie równie. To już ładowisko. Nieznacznie zwiększył szybkość.

Z gęstniejącego mroku wynurzyły się nagle ku niemu jak widma Messerschmitty, Junkersy, Heinckle — znieruchomiałe w groteskowych pozach. Oto Heinckle stoi na masce z ognem zadartym wysoko w górę, tam niemiecki myśliwiec rozplątany przez pół, dalej wielki transportowiec ze swastyką wyciągnął bezzadnie ku niebu kola podwozia. Wiatr targal potępięczo blachami poprutychrzązdel i grał na nich niesamowitą melodię.

Podchorąży przekreślił kontakt swego reflektora. Snop mocnego światła podkreslił jeszcze grozę ponurej sceny. Trzeba było wymijać zwały beczek na benzynę, podziemne setrony, hangary, rozrzucone wokół worki z piaskiem i szczątki maszyn zmiążdżonych bombami!

Wiatr obracał gdzieś śmigłem trupa samolotu. Osmołone szkielety dwóch Junkersów dzwoniły w podmuchach burzy jak jakieś piekielne cymbaly. Gładkie płaszczyzny aluminiowej blachy skrzydeł dotknięte snopem światła reflektora ożywały nagle i gasły.

Podchorąży Popiel krótkimi, ostrymi wirażami wymijał przeszkody podrywając maszynę na pełny gaz. Teraz jeszcze z 50 metrów prosto, a potem wokół cmentarza. Ładowisko kończyło się. Przyhamował maszynę i właśnie zamierzał skrócić w pustynię, gdy nagle do uszu jego dobiegł słutimiony krzyk. Błyskawicznym ruchem obrócił się za siebie. Wydawało mu się, że w dali zza szkieletołów dwóch Messerschmittów — błysnęło jakieś światło. Opanował niemymi dreszcz i wyteżył wzrok aby nie minąć niemieckiego cmentarza. Po chwili wynurzyły się z ciemności charakterystyczne biało-czarne niemieckie krzyże. Teraz już nie zbłądzi.

„Ale ten krzyż i światło? — może należało zawrócić? — To absurd!” — zaczął się sam przekonywać. Przecież to niemożliwe, aby na tym martwym lotnisku niemieckim mógł być żywy człowiek. A jednak wbrew wszelkiej logice pewny był, że za spalonymi Messerschmittami widział

błysk światła. Przecież nie był historyczną starą panną i nie miał przywieźć! Z drugiej strony było przecież niepodobiestwem aby tu za El-Daba, w 4 miesiące po walkach... nie, to wykluczone! Srebra wokół jest zamknięta, wszędzie są miny, nawet Arabom nie wolno tu krążyć. U Zychonia byli wszyscy, jeżeli więc u nas i u Indusów nie brakuje nikogo — tylko duch jakiegoś niemieckiego pilota może straszyć na lotnisku — zaśmiał się do siebie zupełnie uspokojony.

Minął wznieście i po chwili zatrzymał maszynę przed swym namiotem. Z uczuciem wielkiego zadowolenia stwierdził, że w namiocie pali się lampa a na stole dymią przygotowane menażki z kolacją.

— Ależ pan podchorąży miał dziś pogodę! — mówił kapral Strakacz stawiając na stole garnuszek z herbatą. — Baliśmy się, żeby pan nie zbłądził.

— Tam znowu zbłądził! — A co u was? Wszyscy są, Czeczot i Konarski wrócili?

— Tak jest — wszyscy są. Czeczot z Konarskim przyholowali przepiękny czołg włoski z pustyni. Taką 14-tonówkę.

— Dobrze. A u Indusów wszyscy są, nikogo nie brakuje?

— Są wszyscy — odparł Strakacz trochę urażony, że podchorąży więcej interesuje się trzema Indusami przydzielonymi do bazy niż nowym czołgiem.

— To w porządku mój stary. Zbudźcie mnie jutro o pół do piątej. Musimy przecież wykonać te dwa silniki. Aha — a co z peryskopami — nie znalazły się?

— Nie, panie podchorąży, będziemy musieli wykrocić je z jakiejś innej maszyny.

— Wiecie Strakacz — potężnie zmęczony jestem, idziemy spać!

— Czołem panu podchorążemu — mruknął kapral, któremu jego podchorąży wydawał się dziś jakiś odmieniony.

Popiel długo nie mógł zasnąć. Denerwował go tej nocy szum wiatru i suchy, metaliczny świst niesionych burzą piasków.

Nad nim stał błąd, dygocący Imalu, plutonowy Czeczot i Strakacz. Czeczot potrząsał jego prawą ręką i wołał na głos:

— Panie podchorąży, panie podchorąży!!

Popiel usiadł na łóżku i spojrział zdziwionym, zaspanym oczami na obecnych.

— Czego wy chcecie, do jasnej... zakląć soczyście. — Nie ma jeszcze trzejce!

— Mów Imalu! — odezwał się po chwili niepewnym głosem Czeczot.

Popiel dopiero teraz zauważył Indusa, który trząsał się jak w ataku malarii.

— Co się stało?

— Tam na niemieckim lotnisku — zaczął Imalu łamaną angielszczyzną — siedzi lotnik, może duch lotnika niemieckiego, ja widziałem...

Podchorąży przybladł. Zerwał się z łóżka i uchwycił mocno za ramiona wystraszonego chłopca.

— Co ty bredzisz człowieku, jaki lotnik, na jakim lotnisku??

— Panie, ja widziałem — krzyzał Indus — widziałem godzinę temu.

— Coś ty tam robił?

— Szukałem naszej kozy, co się zgubiła...

— Dość! — przerwał zorstko Popiel. — Czeczot i Strakacz pójdziecie ze mną.

— Tak jest! — wyprostowali się obaj służbiście.

Podchorąży włożył płaszcz i zdjął z nad łóżka krótki włoski karabinek. Zaladował broń i garść pocisków wpuścił do kieszeni.

Na dworze ucichło. W górze płynął jasny księżyc i migotały gwiazdy. Szli w milczeniu gęsiego. Pierwszy szedł Popiel a za nim Czeczot i Strakacz. Minęli niemiecki cmentarz, skreśliли w prawo i po kilkunastu minutach byli na terenie lotniska.

Wokół panowała grobowa cisza. Taki statyczny spokój i martwość panować muszą na dnie oceanu — na cmentarzyskach zatopionych okrętów. Balladowe uroczysko klęski.

Każdy szczegół tego dziwnego pejzażu mówił, że życie stał uciekło, że wszystko wokół jest śmiercią i spokojem. Jedynym elementem ruchu był polyskliwy ślad księżycy, który migotał w odpryskach grubego szkła w kabinach Messerschmittów i barwił zielonawym srebrem podarte blachy skrzydeł Junkersów.

Podchorąży Popiel, ukryty za wielką beczką na benzynę, obserwował lotnisko. Za nim przykucnęli dwaj podoficerowie. Po chwili namyśtu podchorąży nie odwracając się szepnął:

— Zostańcie tutaj — pójde sam!

Po prawej stronie niemal aż do końca ładowiska ciągnął się wał zniszczonych baniek i beczek. Tędy musiał być prześlizgnąć się nieopstrzeżenie. Powoli zaczął cicho skradać się, obserwując wszystko szczegółowo. Cisza panowała absolutna. Nic nie zdradzało obecności kogoś żywego. A jednak owe światła, które widział tej nocy? Bezwiednie kierował się ku dwóm zniszczonym Messerschmittom, które stały obok Heinckla z rozplątany ognem.

Posuwał się czujnie, jak na patrolu bojowym, a gumowe podeszwy jego butów tłumili kroki. Obszedł Junkersa, minął wielki transportowiec włoski, jeszcze kilkadziesiąt kroków i będzie u celu. Szedł coraz wolniej, coraz ostrożniej. Z trudem opanowywał wstępujące zdenerwowanie i niepokój. — „Trzeba przedź się skoczyć z tą dziewczynką!” — mruknął do siebie. Upadł i zaczął czołgać się ku wielkiej beczce. Ten odcinek drogi był odsłonięty — trzeba było przebiec go jak najprędzej. Hamując przyspieszony oddech dotarł wreszcie do upragnionej mety. Serce bilo mu gwałtownie. W miarę przybliżania się ku owym fatalnym Messerschmittom rosło w nim poczucie czegoś niezwykłego. Dopiero teraz uświadomił sobie, że szedł tu sam, nie chciał bowiem, aby Strakacz i Czeczot byli świadkami jego zdenerwowania.

Nadsłuchiwał chwilę w skupieniu. Martwo było jak tylko na pustyni być może. Zdjął furazerkę i nie podnosząc się z kolan wychylił głowę.

Okrzyk uwiązał mu w gardle. Przesunął ręką po rozpalonym czole. Spojrzył powtórnie. W odległości 10 kroków na pochylonym skrzydle Messerschmitta widoczna była wyraźnie postać lotnika. Głowa spadała mu bezwładnie na piersi. W ukosnym świetle zachodzącego księżycy polyskliwały fosforyczne klamry pa-

sów i sprzączek. „Co to wszystko znaczy?” — szepnął do siebie Popiel.

„Ja śnię chyba, albo mam gorączkę...” — Po dłuższej chwili zebrał się cały w sobie i uchwyciwszy mocniej karabinek wysunął się cicho ze swego ukrycia. Zagadkowa zjawa pilota trwała w bezruchu siedząc na pochylonym skrzydle samolotu.

Popiel zbliżał się wolno krok za krokiem. Sytuacja stawała się wręcz nie do zniesienia! Podchorąży rozumiał, że musi się coś stać, musi przysnąć ten makabryczny krąg! — „Strzelić” — błysnęła myśl. Postąpił jeszcze krok.

— Kto tam? — krzyknął na cały głos.

Postać drgnęła.

— Kto tam? Kto tam? — krzyczał coraz głośnie.

Nagle tajemnicza zjawa pilota zsunęła się ze skrzydła samolotu i stanęła wyprostowana na ziemi.

— Who are you? — padły spokojnym, niskim głosem wypowiedziane słowa

W odpowiedzi Popiel z dzikim okrzykiem rzucił się na pilota z zaświatów. Ku jego zdumieniu zaczął go ścisnąć i całować.

Gdy Ruxton \*obudził się wreszcie około 6 po południu, czekał na niego formalny bankiet w namiocie podchorążego. Były włoskie i niemieckie konserwy, polska wódka własnego wyrobu, amerykańskie piwo i nawet kozzi ser, dzieło pocziwego Imalu.

Pilot przez pół godziny jadł i pił i znów jadł uśmiechając się do wszystkich przyjaźnie. Dopiero przy herbacie nabawił się falkę zdecydował się opowiedzieć swój pustynny epizod.

— Ot zwyczajna historia — rozpoczął. Dostałem się w tę przeklętą burzę piaskową, Silnik zaczął mi „nawalać”, musiałem w końcu ładować. Usiadłem w szczerej pustyni. Jedyny punkt stały, jaki spostrzegłem, to był ów niemiecki czołg. Poszedłem do niego. Okazało się, że był znacznie dalej, niż oceniałem. Doszedłszy do czołgu zauważyłem te przeklęte trupiarne Messerschmittów. Myślałem, że kogoś tam znajdzie. Tymczasem zapadł mrok, burza przybrała na sile, nie mogłem już trafić do mojego samolotu. Postanowiłem przeto spędzić noc na lotnisku. W nocy przejeżdżał jakiś motocykl — dawał znak latarką i krzyczał, ale nikt mnie nie zauważył.

Przy tych słowach podchorąży zaśmiał się głośno.

— No, ale i nam napędziłeś nieco strachu! Wyglądałeś na tym skrzydle Messerschmitta w świetle księżycy jak zjawa!

— Yes — przeciągnął się wygodnie Ruxton. — Ot jeszcze jedna przygoda więcej...

Juliusz Mieroszewski

**PAMIĘTAJ**  
— O —  
**DZIECIACH**  
**POLSKICH**  
**W Z.S.R.R!**